



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

ZJAZD PEDAGOGICZNY W PRZEMYSŁU.

(Dalszy ciąg).

II.

Pierwszy dzień zjazdu.

D. 16 Lipca odbyły się, jak programmat zapowiadał, trzy nabożeństwa: w katedrze łacińskiej, w kaplicy katedry greckiej, tudzież w nowej synagodze; poczem goście mieli sposobność obejrzeć obiedwie restaurujące się świątynie. Zdziwił wszystkich przepych, z jakim przekształca się katedra grecka: marmur i złoto olśniewają oczy; do osobliwości liczy się tu ambona w kształcie łodzi, co dla nas, „lepszego tonu“ Warszawian, którzy widzimy podobną ambonę w naszym kościele po-Wizytkowskim, osobliwością być nie może. Chociaż był to najwzajemniejszy Czwartek, Przemysł przybrał pozór dnia świątecznego: przybyli, pozostawiając swoje „prochowniki“ w wygodnych i bezpiecznych kwaterach, poważnie ciągnęli w stronę nowego i wspaniałego ratusza, a wyswieżona miejscowa publiczność mieszała się z nimi. Około godziny 10-ej sala radna zapełniła się; na estradzie poza stołem prezydyjalnym zasiadli reprezentanci komitetów i władz miejscowych, nie wyjmując Rady Powiatowej, której wydział przedstawił się *in gremio* łącznie z członkiem właścianinem, nazwiskiem Oleksyn; przy stole sprawozdawczym zajęli miejsca korespondenci ważniejszych czasopism lwowskich, krakowskich, warszawskich; na krzesłach rozłożono dla uczestników: 1) Sprawozdanie z czynności towarzystwa pedagogicznego za czas od 10 Lipca

1884 do 10 Lipca 1885 r. 2) Projekta trzech petycji do wysokiego sejmu. 3) „Lwowskie kolonie wakacyjne w 1884“. 4) Odezwę i Nr 1, wychodzącego już rok X, Miesięcznika galicyjskiego Towarzystwa Ochrony Zwierząt. 5) Ostatnie tomiki polskie i ruskie lwowskiego wydawnictwa ludowego.

Powitał zgromadzonych, w zastępstwie burmistrza, Dra Dworskiego, wice-burmistrz Dr. Władczyński, podnosząc zasługi Towarzystwa Pedagogicznego, zaznaczając, że wiele miast poczuwa się do szczególnej wdzięczności za szkoły żeńskie i przemysłowe, zakładane przez towarzystwo; Przemysł właśnie cieszy się licznie uczęszczaną (269 uczn.) szkołą przemysłową. Przemówił następnie Dr. Czajkowski, wice-marszałek Rady Powiatowej: Szczęść Boże pracy, z poświęceniem dla korzyści kraju podejmowanej, — „niech żywi nie tracą nadziei“ — przyszłość nasza w rękach waszych spoczywa. Reprezentanci kraju nie będą szczeni ofiar na cele oświaty; owocodajna praca wasza wynagrodzi się w zupełności nie da, poza materyjalną nagrodą pozostaje — moralna, którą wy przedewszystkiem w sumieniach waszych znajdujecie, a będzie ona jeszcze większa, kiedy ta młodzież, którą wychowujecie, zastąpi nas wszystkich i bezwzględnie uznaniem i czcią stan nauczycielski otoczy. — Następnie imieniem duchowieństwa witał zgromadzenie w dłuższym przemówieniu ks. kanonik Głazer, zbijając fałszywe mniemanie, jakoby Kościół miał nie sprzyjać nauce: przeciwnie, aż nadto dowodów na każdym kroku spotykamy, że Kościół pielegnował, rozwijał zawsze naukę. Niedostateczna tylko nauka odwodzi od Boga. Cześć meżom prawdziwej nauki! Zadanie szkoły nie ogranicza się na nauce; ma ona kształcić, *wychowywać*; a do czegoż Kościół dąży, jeśli nie do wychowania Ludzkości, cóż jest nad ten cel ważniejszego pod słońcem? Wszak znacie słowa: „uczynmy człowieka na obraz i podobieństwo nasze“: na tej tylko drodze zabez-

pieczają się losy narodów. Owa rzeźbiarka, co „cios jej dłuta wiecznotrwały“ — młodość, stanowi o przyszłości człowieka i narodu; tylko wspólna usilna praca rodziny, Kościoła i szkoły nad młodzieżą do wzniesłego celu wychowania doprowadzić może, a tak i nie przeminie święta przodków naszych wiara i poczciwość stara i mądrość narodu. — Powitał wreszcie zebranych imieniem nauczycielstwa miejscowego p. Jerzy Harwot, profesor gimnazjum, prezes przemyskiego oddziału Towarzystwa Pedagogicznego, wyrażając tem serdeczniejsze szczęście Boże, że na tegorocznym właśnie zjeździe obrady dotyczące będą najważniejszej sprawy t. j. doli i stanowiska nauczycieli. Powitanie to, przez profesora gimnazjum wypowiedziane, było tem właściwsze, że w roku ubiegłym zawiązało się przemyskie koło towarzystwa nauczycieli szkół wyższych, którzy, przyjmując teraz nader czynny udział w komitecie przyjęcia zjazdu, dali dowód, że nowe towarzystwo, mając właściwy sobie zakres działania, w niczem na osłabienie dawniejszego wpłynąć nie powinno i nie może.

Piękniej może jeszcze niż zazwyczaj przemawiał prezes Sawczyński. Podziękował na wstępie za serdeczne przywitanie, odnoszące się, nie do osób, ale do sprawy, której towarzystwo służy, sprawie żywotnej zwłaszcza w Galicji... Towarzystwo Pedagogiczne podjęło obszerne zadanie, zakresliło sobie plan rozległy, chcąc ogarnąć sumę wszystkich czynników, na wychowanie narodu się składających; nie rozszerzyło się ono należycie, nie ogarnęło wszystkich warstw odpowiednich; poszło to ztąd, że zadanie *pedagogicznego* towarzystwa zrozumiano w ścisłym znaczeniu, odnosząc je przedewszystkiem do nauki, do szkoły. Jakoż walny zastęp towarzystwa utworzyli nauczyciele szkoły ludowej; to ważny objaw, bo właśnie przedewszystkiem szkoły ludowej, jako wychowawczy, nam potrzeba, aby zapełnić najdotkliwszy brak w życiu naszym.

Po zagajeniu zgromadzenia prezes wezwał sekretarzy i odczytał serdeczny telegram Ign. Żółtowskiego z Krakowa, który od r. 1870 jest honorowym członkiem towarzystwa, tudzież nieudatny telegram od kółka pedagogicznego w Grzymałowie pod Tarnopolem, które-to kółko po kilku tygodniach istnienia (powstało 25 Maja r. b.), zapewnia o sobie w sprawozdaniu „że bardzo dobrze się rozwija i rokuje piękną przyszłość“ (!). Po załatwieniu kilku następnych punktów porządku dziennego, które miały tylko formalne znaczenie lub ograniczały się na wyborze różnych kommissy, wewnętrzne mających zadanie, zgromadzenie przeszło do ostatniego punktu: petycji do sejmu o zmianę ustawy szkolnej „o płacach i innych służbowych korzyściach“. Sprawa ta wywołała przewlekłe i nader nużące rozprawy, przedłużyła znacznie posiedzenie i, nie ruszywszy prawie z miejsca, bo tylko formalną jej stronę załatwiono, odłożoną została do dnia następnego; zrobimy i my to samo, dodając tutaj tylko, że deszcz obfity, wielce pożądanym po nadzwyczajnym upale, nie wszystkich podobno uczestników, a zwłaszcza uczestniczki, zjazdu zaspokoił, gdyż opóźnił festyn w ogrodzie na górze zamkowej. Festyny takie, na których jest sposobność wzajemnego zbliżenia się, zapoznania, wymiany myśli, uważamy za bardzo odpowiednie i korzystne na podobnych zjazdach; festyn przemyski nie zupełnie odpowiedział celowi: trwał przykrótko i był nieliczny skutkiem wilgoci i niepewnej pogody. Dopiero pod sam wieczór publiczność tłumnie przybywać zaczęła, zapelniając teatr po brzegi, w którym dawano przedstawienie amatorskie „ku uczczeniu zjazdu członków Towarzystwa Pedagogicznego.“ Pokazało się, że członkowie przemyskich towarzystw: dramatycznego i muzycznego, nie próżnują; przedstawienie przeszło wszelkie nasze oczekiwania. Dobre oddanie komedijki *Po drodze* obudziło ogólne zadowolenie, które wzrastało stopniowo podczas *Werbła domowego*, a doszło do szczytu, gdy nadobne Przemysłanki w kostiumach ludowych zwróciły się ze śpiewką okolicznościową do gości, przepłataną dwuwierszem:

Wiwat, wiwat, pedagogi,
Coście weszli w nasze progi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kartka z pamiętników poety.

(Dokończenie, Ob. Nr 32).

Niosłem do domu duży bukiet fijołków i pierwiosnków, jak to czyniłem dawniej. Droga moja szła koło cmentarza. Wszedłem tam na chwilę i na grobowcu wielkiego poety, stojącym z brzegu głównej alei, złożyłem połowę moich kwiatów. Zrobiło mi się lżej trochę na sercu, było mi nawet weselej; idąc ulicą, patrzyłem w okna niskich domków kamieniarzy mieszkających opodal cmentarza. W jednym z nich stała młoda dziewczyna, ładna i świeża; wyglądała jak kwiatek w sukience. Otworzyła własnie okno, i przytrzymując je rękami; jakby niem wpuścić chciała całą wiosnę, zawołała: „ach, jak ciepło!“ Nie miałem nic lepszego do zrobienia, jak wziąć resztę fijołków i rzucić jej na okno. Zmieszła się zrazu, ale zmierzwiwszy mnie od stóp do głowy, spojrzeniem swoich czarnych oczu, roześmiała się na głos i uciekła w głąb pokoju. Zły byłem, bo miałem przekonanie, że to ze mnie; za karę ostrożnie pościagałem fijołki z framugi i śpiesznie odszedłem, gniotąc w ręku mój pierwszy wiosenny bukiet.

Całą noc siedziałem w ogrodzie. Chłodny wietrzyk niósł delikatne wonie leszczyny i wierzby, drobne jakies ptaszki śpiewały piosnki proste, jakies najłatwiejsze, dziecinne prawie, a po niebie szedł księżyc w turbanie lekkich obłoków, jak

błądzący beduin po wielkiej szafirowej przestrzeni. Białe chmury posuwały się z wolna, tworząc wędrujące karawany rozpiętych namiotów... gwiazdy błyskały tu i tam, jak srebrne szczyty dziedzi rozstawionych po kilka na straży nocnego spokoju...

Wpatrywałem się w ten obraz; było mi smutno, a tęsknota moja wypłynęła z piersi skargą:

Kiedy wieczorny powiew ruszy drzewa,
I gdy pod każdym liściem piosnka dzwoni,
Czemu milczący moj duch nic nie śpiewa,
I siłę pieśni w tem milczeniu trwoni?

I kiedy każdy kwiat łzę swoją roni,
W księżycu blask się marzący odziewa;
Czemu ja wzrok mój kryję cieniem dłoni,
A duch mój nic już, nic się nie spodziewa?...

I kiedy niebo nademną błękitne,
I kiedy w górze gwiazd drżą milijony,
I kiedy piękny księżyc cicho płynie—

Ja patrzę... ale duch mój zniechęcony
Porzucił myśli wielkich kraje szczytne,
Po swej poezji dziś błądząc ruinie.

Więc starczyło mi jeszcze głosu na skargę? Czulem to jednak dobrze, że to jest osobista skarga, niemająca głębszej zasługi: i dlatego nie dawały mi pociechy te chwilowe drgnięcia poetycznej struny. Nie miałem ich nawet ochoty spisywać; widziałem, że wszędzie zniechęcenie rymuje się z tęsknotą, i ta jednostajność tonu nudziła mnie samego. Okres liryzmu zamknął się. Jeśli ma trwać dłużej, musi być narodowym lub ogólno-swiatowym. Na ścianach ciasnego więzienia mojej myśli stało wypisane, że—umarł „Gustaw“ a nie wiedziałem jeszcze jak i kiedy ożyje „Konrad“. Nie mogę się już dziś zamknąć w obrębie marzeń dawnych; jest mi ciasno, i czuję, jak skrzydłami duszy objam się o niewystarczające mi już ściany. Dotychczas czulem, i to było mi dosyć; teraz powinienem myśleć. Struna jednak myśli jest u mnie za mało napięta, chwieje się, ugina, pod dotknięciem głębszych zagadnień, i nie ma siły wytrzymać ich nacisku. Tak. Nie umiem jeszcze dobrze myśleć. Nie mam tego wewnętrznego skupienia, tak niezbędnego do pracy rozumnej. Umysł mój wydaje mi się jakby kielich kwiatu, któremu odebrano woń, i stoi wypróżniony, choć niezwiędnięty. — Cóż mi tę próżną czarę napelni?—Praca.

Wprawdzie, pracuję codziennie tyle godzin, pożytecznie dla siebie, i dla drugich z korzyścią; innej mi jednak jeszcze potrzeba pracy, tej mianowicie, co zmienia i doskonalą wewnątrz ducha. Mój rozum powinien tu działać, a wyznać sam przed sobą muszę, że pomimo długich studyów umiem mało i ciasne mi jeszcze są granice świadomości mojej. Koniecznie wstąpić powinienem w świat ściślejszego badania i skrytykować w sobie więcej rzeczywistego zapasu. Dawniej myślałem, że np. przeszłość historyczną znam dobrze, że mi się już całkiem dokładnie odkrył ten świat zamierzchłych wypadków... Znałem szczegółowo klasyczną walkę Grecji z barbarzyństwem, widziałem przed sobą wznoszący się ze swą potęgą Rzym, jego awanturniczo-przebiegły początek, bohaterski rozkwit, i pełen gry kolorów upadek; siedłem z zapalem za urozmaiconymi kartami średniowiecznej, religijno-pogańsko-rycerskiej epopei; potem z równych zachwytem myśl moja biegła na pola walk nowoczesnych, gdzie z tumanu wydobywały się świetne wydarzenia—i myślałem, że to dosyć tak pracować. Bawiłem się przeszłością. Jak dziecko niecierpliwie przewracające książkę z obrazkami, tak ja fantazją szukałem barwnych epok, przenosząc się szybko z jednej karty historycznej na drugą. To było lekkomyślnością trochę; ale żyłem w okresie wrażeń i chciałem przedewszystkiem czuć; poddawałem się więc temu, co na mnie działało. Dusza moja, jak ów krzew mizocy, drżała za najłżejszym dotknięciem rzeczywistości i zdawało jej się nieraz, że jest jakby

zwierciadłem odbijającym świat cały. Nie zastanawiałem się tylko nad tem, że było to odzwierciedlanie się barwnej zewnętrzności, a duch mój był jeszcze za mało rozwinięty, aby badać rzeczy istotę. Czarowały mnie błyski bijące od czoła geniuszu postępu, oddawałem mu hołd, spotykając go, to na świetnych pobojuwiskach, to w pracowniach wiedzy ściślej, to niosącego ponad ciemnościami wieku świetlaną pochodnię nowych idei; widziałem go, jak na widownią wydobywał z tłumu bohatera, jak podnosił godność uciśnionych, jak ciskał gromy światła w epoki zastoju i upadku,—i raz trzymał miecz sprawiedliwości, to cyrklem prawdy mierzył atomy i nieskończoność.—śpiewał nowe pieśni plemienne, silne, przecuciowe, u kołyski małych narodów, lub kazał zmęczonym dziejami ludom kłaść się na czas długi w sarkofag spokoju lub neutralności, aby odpoczęły na walki dalszych stuleci. Widziałem go zawsze z jakimś wewnętrznym zadowoleniem, tęskno mi było w epokach, gdy ślady jego znikły; ale nigdy nie poszedłem za nim badać jego drogi i cele; spotykałem go przypadkowo, nie zadając sobie trudu śledzenia; dlatego właśnie w tym momencie się pojawił i czynił tak, a nie inaczej. Patrzyłem na historyczne rzeźby przeszłości, ale nie szedłem pytać mistrza: czemu je tak wykuwał, jakimi były, i tam ustawiał, gdzie stały? — Plez mi więc dziś zostało pracy jeszcze, zanim sobie będę mógł powiedzieć, że coś wiem i zgłębiłem naprawdę!

Myśleć...

Ach, jak szczęśliwym musi być ten, kto spokojnie przebywać może w sobie! Tyle rzeczy dzieje się dokoła nas, tyle słyszymy i widzimy, a jednak tak trudno zamienić coś ze świata otaczającego — na myśl. Bo to, co przelatuje przez duszę, co dotyka jej tylko chwilowo, nie zostawiając w niej śladu—to nie jest myślą. To jest—pomyślenie, lekkie wionięcie, nie wywołane wolą. Myśl jest już naszą własnością, której nikt nam odebrać nie może, ale której i my sami pozbyć się nie mamy mocy. Dobra lub zła — jest naszą osobistą zasługą lub winą i raz wpuszczona w głębię woli jest już częścią istoty wewnętrznej. Pomyślenie staje w obliczu wolnej woli i pyta: chcesz mnie czy nie? wola pasuje je na duchowego rycerza: i tak, myśl staje się jednym z niewidzialnych szermierzy i jeśli nie chce być tylko rycerzem błędnym, przystać musi koniecznie do wybranej przez człowieka idei. Z takich myśli mających kierunek swój tworzy się indywidualna sfera każdego z ludzi. Myśl w wyższym stopniu postępu swego staje się przekonaniem, dalej zasadą. Co za dziwny świat! Tak całkiem odosobniony, samodzielny, odrębny i nie nad to bardziej własnego nie ma człowiek na ziemi. A czemuż tak często narzeka? Ma swój świat cały i jeszcze mu mało.

Myśl jest jakby uosobieniem wolności, bo cóż ją zzewnątrz krępować może? Ale wolność ta jest do utrzymania trudną, nie bowiem łatwiejszego, jak samemu lekkomyślnie narzucić jej kajdany winy; wtedy prawdziwą jest niewolnicą, trzymaną we własnym domu na uwięzi.

Męstwo woli tylko ją wyswobodzić może.

Myślałem dużo, przechodziłem kolejno dzieje serca i wrażeń, dzieje myśli i przekonania, dzieje świata i doświadczeń, i tu mi się zatrzymać trzeba. Po dłuższym czasie myślenia zaczyna się w duszy pewna jasność. Tem światłem jest—wewnętrzna prawda. Każdy ją w sobie ma, ale często zaćmioną, jakąś senną i póki jej nie wydobędzie, nie będzie znał samego siebie. Ona tworzy ten dzień pogodny, przy którym dopiero można pracować nad sobą. Duch ma także swoje pory zmierzchu i nocy, świtu i dnia, a słońcem kierującym wszelkie zmiany oświetlenia jest—prawda.

Dopóki tylko czulem swoje ja, moją prawdą było szczęście poezji. Później, gdy szczęście minęło, zacząłem mierzyć siebie w stosunku do bliźnich i prawdą była mi pożyteczna praca, wykonywana z dobrą wolą, ale często bez natchnienia. Wtedy wyrwało mi się westchnienie:

„Szkoła ofiar, które nie są rozkoszą.“

Teraz moje ja stanęło wobec majestatu rozmyślania duchowego, ale jeszcze prawdy nie znam;

przez zasłonę mego milczenia nie mogę dojrzeć jej idealnych rysów.

Kiedyż się ta zasłona uniesie, abym mógł oglądać zagadkę mego życia? Wysilał ducha, aby na chwilę nie ustał w pracy; rozszerzając jego wiedzę i doświadczenie, mierzę ciągle, ile mi jeszcze brakuje rozciągłości do działania na rozleglejszą miarę. Walcząc bezustanku z trudnościami, wstępuję powoli wśród ciągłych upadków i zwycięstw na wyżynę mego losu i zdobyłem sobie spokój ten, że robię co mogę.

Zadawałem sobie nieraz pytanie: cóż to jest właściwie prozaiczność? Czy też nie jest ona właśnie wynysłem poetów? Prozaicznością nazwali oni ten drobny, codzienny, niby nie znaczący a bezustanny trud doczesnych potrzeb człowieka. Zapewne, że miło-by było wyzwolić się od ciężaru dnia każdego i żyć w sferze, gdzie żadnych trosk i trudów niema, oddając się tylko wyższym zadaniom. Zapewne, że otoczeni i przygnieceni codziennym ruchem o byt, wołamy nieraz z psalmistą: „Boże, wyrwij mnie z potrzeb moich”—ale czy my też z fałszywego stanowiska nie patrzymy na życie i nie nadajemy miana prozaiczności temu, co ma w sobie niewyczerpany skarb poezji? Poezja, wielka, świetna, rzadko schodzi na ziemię, ale właśnie dzień każdy, każda godzina i najdrobniejsza sprawa ma jej tyle w sobie, że ona z każdej chwilki ku nam wybiega; tylko my jej tam widzieć nie chcemy lub nie możemy.

Chcielibyśmy wiecznie żyć na wyżynach i mamy oczy olśnione światłem wyniesionego ponad codzienność ideału. Odwracamy się więc z dumą wyższości od drobnych spraw ziemi i nie chcemy skrzydłami myśli dotknąć nawet tego bezdusznego padołu znikomych trudów i zabiegów! Bardzo to poetycznie brzmi, ale jest wielką niesprawiedliwością względem życia i poezji samej. Czemu-że by była poezja nieoparta na rzeczywistości plastycznej, którą się widzi na każdym miejscu? Filozofia ma wieczność; poezja—życie, i nie wolno prozaicznością nazwać jego—codziennosci. Przecież od razu całe wieki przed nami stąpać nie będą, lecz musimy mieć cierpliwość liczenia kolejnych, drobnych ogniw nieskończonego łańcucha. Ach, te drobne sprawy ziemi są często tak cudowne, tak czyste i pełne powagi, że smutne nawet życia drogi mogą napełnić pięknosciami!—i tam gdziebyśmy widzieli ruiny szczęścia, ślady zawodów i krzywd, tam rosną kwiaty otulające te wszystkie nędze uściskiem pełnym litości. Jakże niewdzięczni jesteśmy! Jak możemy, wychowawszy się na łonie codzienności, wyczerpawszy, często bezwiednie, tkwiący w niej zapas poezji, odwracać się od niej z rodzajem wzdryki i nazywać ją prozaicznością! Jeśli się ona istotnie gdzie znajduje, to my sami zakłóciwszy bieg rzeczy doczesnych i rzeczywistość czynili nieznośną i trudną. Wszakże nie trudy, nie walki życia zowiemy jego prozą, lecz jego codzienne zabiegi. Ciekawa tylko rzecz: co by było, gdyby je usunąć? Dajmy na to, żeby to się stało; dumny geniusz ulatuje sobie w niewidzialną sferę i tam cieszy się swoją niezależnością od ziemi; ale następnego poranku jużby musiał zejść na ten padół wzgardzony, szukając manny codziennej. Możeby uniósł się dumą i wołał tam umrzeć za obłokami, nie chcąc o nic prosić na dole, ale wtedy wszystkie wyższe duchy umierałyby na dumę. Codziennosc i prozaiczność—to wielkie nieporozumienie. Rzeczywistość jest wzniosła bo — prawdą jest; jest filozoficzną, bo należy do ogólnego łańcucha, i choćby była jednym ziarnkiem kruszcu w ogniwie, to ma w sobie ciężar należący do wagi wszechbytu. Każdy chciałby się dostać na szczyt piramidy życia, ale po krętych, drobnych schodach nikomu się iść nie chce; iść jednak musimy — niema rady; więc do codziennej mniemanej prozaiczności, która nas tak bardzo obrusza, dodajemy, stokroć wyższego ducha niegodniejsze, utyskiwania, narzekania — i zapominając, że na każdym przebytym stopniu szerszy można ujrzeć widnokrąg — posuwamy się, stękając, po drodze! Czy też-to czasem nie jest największą prozaicznością? My, ludzie, my sami jesteśmy prozaiczni, ale w życiu i jego kolejach, czy wielkich i wysokich, czy codziennych i drobnych, nigdzie jej niema; tylko, że wszędzie przebywająca poezja raz się widzialniej i świe-

tniej objawia, drugi raz szukać jej trzeba i samym znaleźć.

Tak, poeto, nie narzekaj na codzienność, nie potępiaj tych, co muszą żyć w jej trudach, choć im się może dusze rwać gdzieindziej; nie myśl, żeś bardzo wyższym moralnie od tego prostego mularza, co, okapany wapnem, wisi kilka piątr nad ziemią, u szczytu dachu, z trudem dokonywając pracy; a słońce pali mu głowę, rusztowanie się chwije, a pod nim wysokość, gotowa mu każdej chwili odebrać równowagę. Po nim zostanie dom wygodny, w którym mieszkać będą jego bliźni; będą w nim pracować, marzyć, cierpieć, myśleć, wychowywać i kształcić młode pokolenia—a pomysł tylko sumiennie: czy pod eterycznym dachem twojej poezji wychowa się kto na wyższego człowieka, na rozumnego obywatela, pod tym dachem, który ty wznosząc, miałeś właśnie sam największą, najpiękniejszą rozkosz ducha! Jeśli tak jest, to—„Poeta, ave!”—ale jeśli nie, to ten wyrobnik z kielnią w rękę ma więcej humanitarnej zasługi od ciebie. Nie jego zapewne osobistą zasługą będą wzniosłe rzeczy dzieć się mające w owym domu, lecz on, własną ręką ciężko pracując do ogólnej cywilizacji się przyczynił.

Ach, nie potępiajmy codzienności! Nie róbmy jej sami prozaiczną i trywialną, jak to uczynili Niemcy, a droga przez ziemskie życie wyda nam się pełną poezji i wdzięku.

Lipiec.

Mówiłem sobie dawniej, że wstąpię w kopalnię ducha i tam szukać będę skarbów. Milczenie moje jest rzeczywiście kopalnią jakąś psychiczną. Stoję wśród pokładów wspomnień moich, i tu i tam wśród skamieniały listek poezji. Ściany myśli stoją proste i zimne, jak z granitu, i żaden nowy kwiat nie wyrasta, bo słońce wejść tu nie może. Słyszę dalekie echa bijących kilofów, i myślę, że to są uderzenia wytrwałej woli: widzę pod ciemnym sklepieniem palącą się pochodnię, i myślę, że to jest prawda wewnętrzna, co mnie w ciemnościach prowadzi; widzę jakies mgliste postacie kręcące się w dymie nad płomieniem; i myślę, że to mary łudzące przeszłości, nad którymi ja już dziś umiem panować. Przechodzę jakiś świat dantejski. Nie jest to jednak piekło, bo nie mam wyrzutów sumienia; przechodzę raczej przez czyszciec ciężkiej pracy, a potem... mój Boże, cóż potem będzie? Ziemia ma ognisko życia wewnątrz; im głębiej się wstępuje, tem cieplej: może i ja odnajdę w duchowej głębi odebrany mi płomień natchnienia.. Poezja, jak lawa dawnych wybuchów, zastygła tam na powierzchni, ale czuję jak w tajnikach mojej istoty, nowy, może gorętszy, przerabia się kruszec.

Cierpienie zawsze ma swoją przyczynę; dlatego „pochylam czoło pod mocną ręką Boga“ i czekam, ach, czekam już tak długo... rok milczenia.

O, cierpliwości, ty jesteś muzą czasu!

Kto raz był pod władzą poezji, ten zawsze poddanym jej zostanie. Ona, jak słońce, ma moc przyciągania. Cóżby to był za los ponury, gdyby to słońce moje, straciwszy siłę ożywczą, nie przestało mieć mocy ciągnięcia mnie wiecznie za sobą? Ta atrakcyja poezji byłaby dla mnie fatalną. Odejdźcie smutki... nie trzeba mi się mroczyć samemu.

Po długiej pracy i zastanawianiu się nad sobą czuję się spokojniejszym. Myśli się ukołysały... nie gonię już, z bolesnem wysileniem, poezji mojej, lecz czekam—niech sama powróci.

Milczenie moje przestaje być milczeniem i przechodzi w błogosławioną, pełną powagi—ciszę...

W tej chwili dotknął mego czoła jakiś przelotny duch,—i zdaje mi się, że to dotknięcie znam.

W tej chwili słyszałem jego głos,—i zdaje mi się, że go poznaję.

szczęsna.

PIOSNKA LUDOWA

(tłumaczona ze Żmujdzkiego).

Po tawa nu musu atsitolinima
Kad tawes ne matau smutkos mani jema
Be tawes Pruneyszkau czyesas ilgias matos
Mau wiena adina stojas kajpo metas.

Ból, co wrósł mi w duszę podczas oddalenia
Twojego, o mój luby, w rok smutku zamienia
Každy dzień tęsknoty. Biedną młodość moją
Starości już ciemne kiry wspomnień stroją.

Czy grabię na łące, czym w polu u żniwa,
Wszędzie cień twój próżno gonię, nieszczęśliwa;
Samotnica wieczna, szukam cię oczyma
Wśród młodzianów grona — a ciebie tam niema.

Gdzież te dni szczęścia, te miłe godziny,
Gdy ze mną w ogródku byłeś, mój jedyny?
Jam rwała lilie, z rutą w wieniec wiła,
A na głowę kładąc, piosenkę nuciła.

Świat się w uśmiech stroił, i w urok godowy,
Gdyś tchnął życie we mnie — miłosnemi słowy
Rzekłeś: „Choć na świecie są piękne dziewczęta,
„Najpiękniejsza nawet mnie już nie opęta!“

Jeśli słowa twoje prawdziwemi były,
Dotrzymasz ich kiedyś, dotrzymasz, mój miły!
Nie dajże mi zmarnieć w walce z bólu zmorą,
Nie daj mi doczekać, aż mi cię zabiorą!

Świat mi dziś pustynią, życie nie ma wdzięku
Jużbym umrzeć chciała, lecz na twoich rękach!
Ptaszek z piosenką wleciał, rybka mknie w głę-

[binie:

Mnie boleść pożera, a z oka łza płynie...

Zambra.

PRZEKŁĘTA WIOSNA.

NOWELLA

przez

Bronisława Grabowskiego.

Ach! ten przeklęty Maj!... w powietrzu woń upajająca,
Na ustach śpiew, a pierś—jak wulkan rozhuwany wrzaca...
(Sowiński: *Fragment Pieśni*).

I.

— „Przeklęta wiosna!“ śpiewał pieśniarz nadsekwański, bo mu rozbijały na majowym słoneczku bluszczy i osypane zielenią drzewa zasłaniały okno, a w oknie uroczą postać dziewczęcia.

Śliczna, uroczą wiosna!—wołał w duszy student prawa, gdy w ciepły dzień wiosenny otworzyło się okienko na poddaszu, a w okienku stanęło dziewczętko, młode jak wiosna, a śliczne niby sen w noc majową.

I on otworzył swoje okienko—także na poddaszu — i on stanął w niem, chwytając powiew ciepły, miękki, głaszczący pierś, rozmarzający głowę, niby młode wino. Młodzian i panna spojrzeli na siebie przez nagie jeszcze gałęzie starej, wysokiej, rosochatej topoli, zdumieli niby dwa jelonki, które niespodzianie z gęstwiny wyskoczą ku sobie, uśmiechnęli się, a potem odstąpili od okien, jakby przelękli się... własnego zuchwałstwa.

Działo się to... Anno Domini... eh, kto by dbał

tam o datę!.. Działo się w Warszawie, ale nie na tych pryncypalnych ulicach, gdzie buńczuczne kamienice rozpychają się, jak ludzie w tłoku, jedno przyparte do drugich bokami, a każda zadziera łeb dachem, jak kapeluszem, przykryty, siląc się z góry oglądać na towarzyski swoje. Działo się to na jednej z tych odległych uliczek, gdzie jeszcze stoją małe drewniane domki, a między nimi wynurzają się skromniutki kamieniczki, skulone nieśmiele, tak, że jedna drugiej łokciami nie trąca. Czego mają tłoczyć się i ciśnąć do siebie, kiedy tu nie brak miejsca! Na ulicy owej stały dwie jednopiętrowe kamieniczki, oddzielone od siebie taką przestrzenią, iż między nimi rosła nad cienkim murem granicznym stara, przekrzywiona na bok topola, rozpościerając wygodnie ramiona. Oba domy należały do dwóch łyków przedmiejskich, niesłychanie dumnych ze swych possessy i z tytułu obywateli. Klócili się sławetni panowie ze sobą dla braku innego lepszego zajęcia, a spory głównie toczyły się o ową nieszczęsną topolę, która, wyrosłszy na gruncie jednego, niedyskretnie przechylała się przez mur nad terytorium drugiego: to też ów drugi gniewał się niesłychanie i ogadywał bez litości niebogę, że się wdawała w nieprzyzwoite towarzystwo z liszkami i chrabąszczami. Wygrażał, że bez ceremonii każe odrąbać to, co wdzierało się w jego dziedzinę; miał bowiem najmocniejsze przekonanie, że cała przestrzeń od placu, za który był zapłacił, aż do sklepienia niebieskiego stanowi niezaprzeczoną jego własność. Groził i srożył się, a tymczasem topola rosła wciąż w górę i wszędy i już drobnymi prątkami trącała w okienka szczytowe na tak zwanym drugim piętrze, to jest poddaszu, w okienka, które poufale sobie poglądały... twarzą w twarz, oko w oko.

Kiedy młodzian sprowadził się był na poddasze, panowała zima sroga, nielitośna, miotająca w okna płatki śniegowe i przylepiająca na nich... kwiaty z lodu. Wiatr był głosem wygłodniałych szakali, świszczał przez szczeliny w dachu, a w izdebce, do której student wniósł się ze swem nielicznem i niewykwintnem mieniem, chwycił go w swe objęcia chłód przenikliwy, stały owej pustki mieszkaniac. Ulpian w miniaturze, zapalił w piecu kilka drewek, przywdział na siebie całą swą garderobę, nawet czapkę głęboko na głowę nacisnął, i siadł przy cieniutkiej świeczce do wielkiego woluminu Kodeksu Justynianowego i swist-prudencji, z ust professorskich w lot chwytna. Przez małe okienko nie widział nic; pokrywała je matowa lodu tafla, ale on nie dbał o to wcale. Co go mógł obchodzić świat cały, gdy za pół roku czekał go egzamin ostateczny? Tonął więc całą duszą w skryptach, starając się wyłowić sens właściwy z powodzi opuszczeń i omyłek, bo przecież tych omyłek srodzy professorowie za dobrą monetę przyjąć nie zechcą.

Czasem dolatywały jakieś głosy z ulicy, dzwonki sanek, krzyki klócących się pijaków; ale młodzian był głuchy na wszystko. Myśl jego błąkała się po labiryncie artykułów prawnych i uczonych wywodów jurystycznych; bo z mroku przeszłości wyzierała groźna, okrutna, nieubłagana żrenica jednookiego cyklopa, zwanego egzaminem, i umysłowi studenta nie pozwalała, nawet dla rozrywki, wymykać się za próg owego labiryntu. Raz tylko podniósł on głowę, gdy w ciszy wieczornej doleciał go śpiew stłumiony, duet dwóch głosów; jeden z nich był chrapliwy, ostry, drugi słodki i dźwięczny, ale oba zlewały się dysharmonijnie w tony starej kolendy. I później przeżywał sobie na chwile mozolne studia, ilekroć głosy owe dosłyszał, śpiewające coraz-to nowe piosenki, a raz nawet na melodię „Maritany“ wtórować począł kocim mručeniem, nie odrywając oczu od książki.

Coś w końcu Lutego słoneczko łaskawsze, ciepłejsze stopiło powoli lodową na oknie powłokę; młodzian spojrział przez szybę niezbyt ciekawie i spostrzegł naprzeciwko, poza nagiemi gałęziami, topoli drugie okienko szczytowe. Za ciemnymi szybami bielily się niewyraźnie firanki, opuszczone ku sobie, snadź na to, aby stanowiły zasłonę przed niedyskretnem okiem, ciekawem wejrzeć w głąb pokoju. Wieczorną porą zsuwa-

ła się z góry szara zasłona, przez którą przebiła się żółte światło lampy. Wszystkie te środki ostrożności były snadź wymierzone głównie przeciwko niemu, niepotrzebnie jednak, on bowiem nigdy w osłanianie starannie okienko nie patrzył.

Przyszedł wreszcie Kwiecień, zrobiło się ciepło na Bożym świecie, ludzie otwierali okna, aby technienie wiosny wpuścić do izb i komnat, zatechłych w zimowem zamknięciu, i oba okienka na poddaszach prawie równocześnie rozleciały się naościę. Młodzian i panienka po raz pierwszy spojrzeli na siebie i po raz pierwszy dowiedzieli się o swoim istnieniu na ziemi, a przynajmniej on, bo kto zaręczyć może, czy jej oczki nie wyszły go poza zamarżelimi szybami naprzeciwko?

Po tej pierwszej niespodziance czas jakiś oboje niesmiało skradali się do okienek, aby przyrzeć się sobie lepiej. Ona dostrzegła, że sąsiad ma jasne, lekko zakręcone koło skroni włosy, niebieskie oczy, a nad górną wargą dość wyraźny projekt na wąsik; on zaś przekonał się naocznie o ciemnych włosach, czarnem oku i różowiteńkich jagodach na drobnej twarzyczce sąsiadeczki. Zdejmowała go nieprzeczparta ochota robienia szczegółowych studyów fizjognomicznych, na czem źle wychodził kodex i skrypta, lubo egzamin był już za pasem.

Na wiosnę znowu zaczęli się klócić ze sobą panowie obywateli, znowu posypały się srogie odgrozki, niebezpieczne dla starej topoli, ale ona, jakgdyby nic, rosła sobie dalej, rozłożyste gałęzie okryły się liśćmi i oboje młodzi patrzyli teraz na siebie niby przez siatkę. Czasami napadała pokusa młodziana, aby rzucił jakieś słówko uroczej sąsiadeczce, ale za każdym razem zaszumiała stara topola, jakgdyby chciała ostrzedz go, że to będzie... nieprzyzwoicie.

Wszelako nadeszło i minęło lato, przeszedł egzamin, a jesienią niecodziennie świeciło się w okienku młodziana; wieczorami bowiem był w sąsiadkinaprzeciwko, w ubraniu cywilnem, symbolu wyzolenia z terminu uniwersyteckiego. z dumą w oku i na czole, ze świadectwem świeżo pozyskanej samodzielności. Przysiadł się do ślicznej panienki, która wpatrywała się w jego jasne oczy, zarumieniona, niespokojna, lekko uśmiechnięta. Co mówili między sobą, tego niby słuchała stara ciotka, drzemiąca w krzesle, głaszcząca leniwo białego kotka, co leżał na jej kolanach. Była ona od lat wielu jedyną opiekunką osieroconego dziewczęcia. Do strzegącego jej ucha dolatują słowa młodych, zwyczajne, objętne treścią, nierażące niczem; same przez się one nie mówią nic, ale niedopowiedziany sens kryje się w tonie, w spojrzeniu, w rumieńcu, bo rozmowa kochanków to jak cudna melodia na tekst powszedni: nie wsłuchuj się w text, bo sama nuta dla czującego ducha wystarcza.

Oczy kleją się staruszce; poczyna drzemać biedaczka, a może i marzyć o owych czasach, gdy i ona takążsamą przechodziła kolej. Przecież wszystkiego ludzie mogą jej odmówić i zaprzeczyć, ale tylko nie tego jednego, że i ona kiedyś, przed laty, była... młodą. W głębiach jej ducha budzą się zdawien dawna zapomniane, prawie zamarte wspomnienia, słodka boleść nurtuje w znieczulonem już niemal sercu, a myśl tonie w fantasmagoryi obrazów z przeszłości, wypełzłych, zatartych z lat biegiem, niby malowidła na ścianach spustoszonego klasztoru. Dziś występują one znowu w wyrazistych zarysach, w jaskrawych barwach, jakgdyby podmuch jakiś czarodziejski świeżych kształtów i barw im użył. Błogosławiona, święta wiosno żywota, gdy chociaż wspomnienie twoje schyłek dni naszych uroczym promieniami ozłaca! Nie, nie—przeklęta wiosna! trwa tak krótko, tak prędko ucieka i nie wróci już, nie wróci, chyba... nikłym wspomnieniem.

I staruszka zapomniała o swej roli dueńy, nie słucha już, co sobie prawią młodzi, oni zaś także myślą w przeszłość się cofnęli. Czarnobrewa opowiada jasnowłosemu o swem dziecięctwie, spędzonym w wielkim, zamożnym dworze, który roił się tłumem gości i sług, gdzie do stołu codziennie liczne grono swoich i obcych siadało, gdzie nie-

rzadko wrzał gwar żywej rozmowy i okrzyki hucznych wiwatów.

I wspomina ojca, szlachcica z sumiastym wąsem, obywatela gościnnego, lubionego w okolicy, matkę, drobną, zgrabną, urodziwą niewiastę, skrętną, ruchliwą gospodynię, i babkę, matronę w starsowieckim czepcu, królującą na wielkim fotelu; skinieniu bezsilnej jej ręki ulegał dom cały, dzieci i słudzy. Ale scenerya powieści zmienia się. Widać trzy mogiły; do ostatniej, na pysznym karawanie, przy blasku tysiąca świec i pochodni, w licznym orszaku sąsiadów i gości, zawieziono owdowiałego ojca, a na szumnej stypie z pełnemi kielichami w rękach wysławiano cnoty zmarłego i pocieszano niezbyt trafniemi konceptami jedynaczkę sierotę, zapłakaną, odzianą w czarną sukienkę, której jeszcze po zgonie matki zdjęć z niej nie zdążono.

A potem przyjechali jacyś obcy, zimni ludzie, spisali wszystko, co było w domu, niby kruki zbiegli się rozmaici brodaci i nie brodaci i rozkupili sprzęty, meble, dom, wieś całą.

Stara, owdowiała, podupadła ciotka zabrała dziewczynkę na ubogi wózek i wywozła z domu, gdzie się urodziła, ze wsi, w której spędziła dzieciństwo, do wielkiego miasta, do ubogiej izdebki na poddaszu. Za resztkę marną pozostała dla niej z całej fortuny ojcowskiej, oddano ją na pensję, a gdy tę skończyła, powróciła znowu do ciotki na poddasze, i dziś staruszka wdowim chlebem dzieli się z sierotą.

Przy tej smutnej, a prostej historii, jakich życie dziś nam wiele opowiada, młodzianowi wykradają się dwie lzy zpod powiek: szczęściem, zmrok już w pokoju, drzemiąca ciotka ich nie dopatrzy. I on wraca myślą w swoją przeszłość, również smutną, również mogiłami, jak drogowskazami, wytkniętą. Matki nie oglądały nigdy jego oczy, pamięta tylko jej grób darniną pokryty, a na nim czarny krzyżyk z pordzewiałą blachą i z napisem, który deszcze i rosa nawpół zmyły i zatarły. Stara służąca prowadziła go na mogiłę, kazała mu na niej mówić pacierz; a gdy przychodził do domu, zwracał ku niemu surową twarz ojciec jego, mąż z białem jak czyste srebro wąsem, niegdys dzielny wojak, potem mały urzędniczek, z trudnością władający piórem, choć niegdys szabłą lekko wywijał. Tego ojca najlepiej pamięta, jak leżał na środku pokoju w czarnej trumnie, ubrany w dawny mundur, z piersią pokrytą orderami. Ten ojciec, ten surowy, twardy ojciec, zawsze poglądał na chłopca nieubłaganem jak rozkaz wojskowy okiem, zawsze rzucał mu słowa stanowcze, niby kommenda bojowa. Wszelako na śmiertelnem łożu patrzył nań tklawie, serdecznie, czule przycisnął go do wyschłej piersi, błogosławił drżącymi rękoma, a podniósłszy się nieco ostatnim wysiłkiem, wyrzekł głosem ponurym, niby wołanie proroka, błądzącego po ulicach miejskich:

— Bądź synu twardym, jak kamień, — stałym, jak opoka, a świat zwyciężysz!

A potem, potem dziecko znalazło się w domu, gdzie uczyło się samo i uczyło młodszych od siebie, gdzie mu głód torturował wewnętrznosci, chłód przenikał nawskroś członki, a lzy, niewypłakane od wstydu i strachu, paliły oko, niby rozżarzone żelazo. I tak szedł przez szkoły; w uniwersytecie lżej odetchnął, dzięki któremuś z tych dawno spróchniałych w ziemi dobroczyńców, którzy dla biednych studentów zapisali stypendya, dziś zaś znowu pracuje ciężko, terminując w kancelaryi adwokackiej; ale lata próby się skończą, i niezadługo będzie także pracował, ale już dla siebie i dla... swoich.

Zmrok coraz grubszą zasłonę kładł na świat cały i dobrze robił, bo z oczu czarnych dziewczęcia sypały się lzy tak wielkie, tak grube, iż gdyby dziwnym jakim skamieniały, mogłyby posłużyć za opalowy naszyjnik na ozdobę szyi jakiej królowej. Stara ciotka zerwała się, strząsnęła resztkę niedosnutego dumania, szybko zapaliła świecę. Ale leż już nie dojrzy; one już starte bez śladu; teraz oczy młodych śmieją się ku sobie, jakgdyby zaręczyły sobie wzajemnie, że lubo dotąd ich życie smutnem snuło się pasmem,

LISTY J. I. KRASZEWSKIGO Z MAGDEBURGA.

XV.

teraz napewno rozpocznie się nowa era trwałego szczęścia... do końca.

I ślub ten, uczyniony oczyma, potwierdziły wyraźnie, uroczyście usta kochanków. Było to także w tajemniczej zmroku godzinie, w dzień pogodny, ciepły, wiosenny. Siedzieli oboje w ustronnej alei Ogrodu Saskiego, zapatrzeni sobie w oczy, chwilami splatając ręce w sardecznym uścisku.

— Droga, najdroższa moja! — mówił on, upojony czy-to świeżym, wonnym wiosny oddechem, czy też kipiącym w sercu, pieniącym się naksztalt szampana, uczuciem — aniele mój, ja ci wszystko, co trudnem, pozyskam, złożę pod nogi, ja dla ciebie zdobędę wszystko, o czem tylko zamarzyć zdołasz.

— O, drogi mój, o, najlepszy z ludzi — odpowiadała ona — ja ci raj w domu zgotuję. Gdy wrócisz po pracy, ja ci zetrę wszelką chmurkę z czoła, ja ci rozpędzę smutek i troskę, ja ci życie ozłocę.

— Będę pracował tylko po to, aby zadowolnić wszelkie pragnienia, spełnić każde marzenie twoje.

— Niczego nie zapragnę, o niczem nie zamary, chyba o tem, co tobie szczęście przyniesie.

— Będziemy szczęśliwi, najszczęśliwsi z ludzi!

— Będziemy, musimy być szczęśliwi!

— Szczęśliwi razem, razem, razem! — powtarzali oboje, upojeni tą obietnicą, tym ślubem serc miłujących, ukolysani pewnością tego, co w tej chwili wydawało się im nieuniknionem, niecofnionem, jak wyrok nieugiętego *fatum*.

Wietrzyk, zdrajca, niedość, że podsłuchiwał ich bezwstydnie, ale jeszcze, plotkarz zuchwały, słowa ich zanosił do uszu siedzących na pobliskiej ławce z tyłu. A siedziały tam dwie kobiety, zawiędle w nazbyt przeciągniętem dziewictwie i cierpki wdowiec, któremu tak długo żona kwasiała życie, że nawet wtedy, gdy go wreszcie opuściła nazawsze, nic mu już więcej w duszy nad kwas i gorycz nie pozostało.

— Głupia! — mówiła stara dziewczyna do drugiej — ona mu wierzy! Dziś obiecuje, przysięga, a potem będzie jej skąpił na najpierwsze potrzeby, będzie zaniedbywał, zdradzał, a w końcu poniewierał i bił może nawet.

— A ona o raju mu dziś plecie — powiadała druga — a potem zdradzi go, opuści, jeśli znajdzie amatora, a nie, to mu będzie od rana do wieczora głowę suszyła, życie mu zatrue.

— A co jeś będą? — zaintonowała znowu pierwsza. — On otworzy wprawdzie kancelaryę, ale kto mu powiedział, że klienci zaraz zlatywać się będą?

— A ona mu wniesie wielki posag — dorzuciła druga — zgrabną figurkę, którą stroić trzeba będzie, bielutkie rączki, na które rękawiczek kupować nie nastarczy.

— Niech Bóg od takiego szczęścia uchroni! — zawołały obie uniesione, wzruszając ramionami w świętem oburzeniu.

A cierpki wdowiec nie mówił nic, myślał tylko sobie:

— Szaleni! oni prawią sobie o szczęściu razem, we dwoje! Przyjdzie czas, kiedy będą widzieli szczęście w tem, co ich od siebie oddzieli.

Wtem odezwała się zdaleka grzechotka, znak, wypraszający gości z ogrodu.

Wstała z ławki para kochanków, wstały dwie stare panny, wstał też i wdowiec zgrzybiały.

— Kochana, błogosławiona wiosna! — mówili do siebie kochankowie — ona okna domów i serca ludzkie otwiera. Gdyby nie ona, możebyśmy jedno drugiego nie zobaczyli w okienku.

— Przekłęta wiosna! — mówiły do siebie pełnoletnie dziewice — niby to ciepło, a wieczory chłodne. Zasiadaliśmy się w ogrodzie, nie wzięliśmy ciepłych szalów ze sobą, i ot katar, jakby na bruku znalazł.

— Przekłęta wiosna! — myślał w duszy kwaśny wdowiec — ani to długi dzień, ani długi wieczór. Spać jeszcze za wcześnie, na partyjkę wista za późno: co tu robić? Ot, chyba wstąpmy do cukierni...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Znany jeden przedsiębiorca urządził tu podróż dla przyjemności, która będzie miała powabności. Skoro tylko zbierze się dostateczna liczba ochotników, — pojedą całą gromadą obejrzeć nowe kolonie afrykańskie. Kongo, Liberia, Kamerun i wszystkie te bajeczne krainy, o których mówi się tyle dobrego — i tyle złego zarazem — stanowią cel podróży; a ponieważ tutaj jest się zawsze i wszędzie praktycznym, więc też tutejsi przemysłowcy i kupcy obiecują sobie wyzyskać tę wycieczkę w celu przekonania się, czy też zrobić można w nowym tym świecie.

Taki już jest bieg rzeczy ludzkich na ziemi, że i tymrazem zaczęło się od wiary w cudowne Eldorado, a teraz już przebywa się epokę sceptycyzmu. Owe krainy nie są dziś już tem, czem były: klimat zabójczy, grunt nieurodzajny, sławionych bogactw daremnie-by szukać. Ale dodać musimy, że zdania takie wychodzą od Amerykanina. Prawda znajduje się pewno w pośrodku. Tymczasem wykończają w Niemczech przenośne domki żelazne, które wkrótce już odejdą do kolonii. Piszą tu wiele o tych koloniach, wywiadują się o nie; widać żywą skrzętność i zabiegliwość myśli, nawet rzetelne trudy. Cały ten ruch wszczął się niedawno, kilka miesięcy temu, jakby na zakłęcie czarodziejskie, a widać ze sposobu jego rozwijania się, że dojdzie do rozmiarów wcale pokąźnych. Niepodobna zaprzeczyć, że moment psychologiczny do początkowania w sprawie kolonizacji wybrany został doskonale. Wszystkie obliczenia statystyczne stwierdzają w Niemczech taki wzrost ludności, że byłby on groźnym, gdyby nie wybrano tej drogi, która pozwoli nadmiarowi rozlać się gdzieindziej, bez wsiąkania w grunt obcy. Ameryka z każdym dniem coraz mniej gościnną się staje, i to nietylko dla Chińczyków, których się boi, ale i dla Europejczyków, którzy nie przynoszą jej nic więcej, prócz swoich ramion, wzamian za to odbierając niewdzięczność. Ale prawie tu o wdzięczności w 1885 roku Ery Chrystusowej! Socyologia, ekonomia polityczna — wcale jej nie znają.

Kolonie i wystawy, bądź już urządzona i otwarte, bądź projektowane (nawet Grecya marzy o wystawie panhelleńskiej): oto, co nas tu zajmuje w tej chwili. Nie wspominam tu o szczepieniu cholery, gdyż leży to już w dziedzinie naukowej, nieprzystępnej dla zwykłego śmiertelnika, ani o sztuce kierowania balonami, która, narobiwszy dużo hałasu, wróciła do cichego zakątka prób i doświadczeń. Wreszcie ogólnie wróżą długotrwałość pokój, tak niezbędny i pożądany dla wszystkich, niemających żadnego interesu do zrobienia na wojnie.

Prace literackie idą zwykłym swym biegiem. Ta lub owa wypłynie na wierzch, pobuja po fali i będą o niej mówić przez chwilę; masy innych przesuwały się niepostrzeżenie. Co najwyżej spotyka je zaszczyt sprawozdania lub krytycznego rozbioru; a potem wszystko to idzie na swoje miejsce w nekrologach i katakumbach bibliografii.

Poszukiwania historyczne, jak — eśmy niejednokrotnie zauważyli, są na porządku dziennym. To też trzeba być sprawiedliwym: nigdy przeszłości nie badano tak starannie i to we wszystkich kierunkach i objawach życia. Badacz worywa się w ziemię, tak dobrze jak w archiwa — nie pogardza niczem.

W poprzednim liście mówiliśmy o p. Patterson Bonaparte. Dziś wpada nam w ręce inna książka, równie o kobiecie z tejsamej epoki, o Maryi Ludwice, żonie Napoleona I. Jest to pierwszy tom studyów, które mają ogarnąć całość jej życia. Autor, p. Imbert de St. Amand, wziął two-

rzywo do dzieła swego z archiwów ministerjum spraw zagranicznych. Tak robią dziś wszyscy. „*Les beaux jours de l'Impératrice Marie Louise*“ (Paris, Dentu 1885, pp. 468—8-0) należą do całości seryi zatytułowanej: „*Les femmes des Tuileries*“, który-to dział obecnie się jeszcze ciągnie; „*Les femmes de Versailles*“ już ukończony na Maryi Antoninie. Przybędzie jeszcze tasama Marya Ludwika podczas najazdu, pobytu na Elbie i Stu Dni — wreszcie jako matka księcia Reichstadtu.

Piękne dni skończyły się na podróży do Drezn i Pragi w r. 1812. Powrót do Paryża daje obraz smutny, rozdzierający. Ofiara zimnej polityki, zrezygnowana, zawsze pomna na obowiązki, zawsze posłuszna i nazywająca się szczęśliwą, uwielbiana przytem przez Napoleona — nikogo nie złudzi, zaręczając, że jest zadowoloną ze swego losu. Cały świat patrzy na nią, jak na ofiarę w okrutny sposób wydaną na pastwę ambicji tego zdobywcy, upojonego powodzeniem.

Rzekłbyś, że ją już wychowano do tych dziwnych kolei, jakie ją miały spotkać w życiu: tyle miała poddania się, panowania nad sobą, wspaniałej dumy — w całym swem postępowaniu. Prawda, że Napoleon robi wszystko, co może, aby się okazać delikatnym, dobrze wychowanym, i tak giętkim, jak tylko na to etykieta pozwalała. Umiął nawet nastroić się na dyapazon pojęć monarchicznych swojego tescia — odrzucając od siebie samo nawet wspomnienie rewolucyjnego swego pochodzenia.

Cesarz Franciszek nakazuje poszukiwania archiwalne: i oto zaraz na poczekaniu zjawiają się Bonapartowie w XIII czy też XIV w. jako księżęta panujący w Treviso!

Wraz z przybyciem Maryi Ludwiki znika z dworu cesarza Francuzów wszelki ślad przeszłości: etykieta austriacko-hiszpańska reguluje wszystkie ruchy. Poddaje się jej sam nawet Napoleon i przestrzega jej z pedantyczną ścisłością. Wszystko odbywać się musi tak, jak z góry ułożono; żaden objaw nie może wystąpić samoistnie. Autor nie zadaje sobie wielkiego trudu, aby nam odmalować Napoleona jako małżonka Maryi Ludwiki. Akta, mowy, opisy — dają najzupełniej wystarczające wyobrażenie o tych stosunkach, sprawiających wrażenie smutne i nieprzyjemne.

Wszystko to prawdziwe: jest to historia męczeństwa dobrowolnego, które się kończy nieprzewidzianą katastrofą. Bóg sam wdaje się w sprawę i mać rachuby ludzkie. Jako małżonek, Napoleon jest dla Maryi Ludwiki całkiem innym, niż był dla Józefiny; stara się być dobrym i kochającym; serce otwiera mu się dla uczu ojcowskich; zimny despotą przywiązuje się do swej żony i jeszcze z wyspy S-tej Heleny, gdzie przed nim wszystko ukrywają, czci ją, jakby jaką świętą.

Studjum nad charakterem Maryi Ludwiki, które można wtedy dopiero przeprowadzić, gdy się ma przed sobą całość jej życia, daje w wynikach swoich obraz postaci dość pospolitej i niewzbudzającej wielkiej sympatii. Temperament uczynił ją nieczułą i zimną. W życiu dążyła tylko do pewnego spokojnego dobrobytu, w którymby nie potrzebowała się bardzo nudzić. Nikt w niej nie obudzał żywszego zajęcia, nawet własne jej dziecko. Żadnego porwywu nie widać w tej duszy — jakieś zdanie się na los, na przypadek. W takim usposobieniu oddawała raz po raz rękę swoją dwóm ludziom, z których każdy był zupełną nicością, z takim usposobieniem zgadzały się przemijające fantazyje, przy których nie troszczyła się już ani o to, co świat powie, ani nawet o sąd potomności. Umiiała się przypasowywać do swego życiowego ośrodka: dobrze jej było we Francji, dobrze w małym księstewku, które jej nadano (Parma), dobrze z rozwodem, z wdowieństwem — ze wszystkim. Była jej tylko żyć dano spokojnie, zajmować się trochę muzyką, pieścić ulubione swe pieski, mieć kogoś, z kimby wymienić mogła kilka zdań banalnych, zwłaszcza na długim dniu — niczego już więcej nie potrzebowała. Jestto egoizm rozsądny, niedomagający się zbyt wiele od losu, poprzestający na mierności — rzadko kiedy uśmiechnięty, a leż to już wcale prawie nieznanający.

Kiedy się zbliżka przyjrzymy faktom, przygo-

dom Maryi Ludwiki, dostrzeżemy w niej raczej produkt sztuczny rozmyślnego wychowania, niż twór natury. Wszystko u niej, aż do temperamentu, jest ujarzmione, okiełzane, wytressowane do życia, które miało się toczyć jedynie w pewnym przewidzianym obrębie. Niema w tej istocie takiej już ambicji, któraby wymagała poświęceń. Zostaje hrabiną Neipperg, potem hr. B... z osobistych swoich pobudek: co ją tam obchodzić może jakaś wielkość jednodniowa! Z Wiednia wyjeżdża bez żalu, a Paryż opuszcza prawie obojętnie. Nie broni ani syna swego, ani swej osoby — nie opiera się niczemu. Odczuwając silniej swój charakter arcyksiężniczki austriackiej, aniżeli Cesarzowej Francuzów, miała przytem jakby przeczucie losu, który ją miał spotkać — tak dalece los ten nie zdziwił jej wcale, gdy go już znosić musiała. Nawet tragiczny los syna nie zdołał jej poruszyć.

P. Imbert de St. Amand, który poprzestaje na wyciągach z pamiętników współczesnych, nie wydaje też żadnego zgola sądu, zostawiając czytelnikowi zupełną i niczem nieskrepowaną swobodę. Jeżeli-by można przypisać wydawcy literackiemu jakikolwiek subiektywizm w zdaniu, to powiedzielibyśmy, że ma on dla Maryi Ludwiki raczej sympatyę i litość, niż surowość. Pomimo to jednak ta postać nieczuła, mniej jeszcze majestaticzna, niż sztywna, budzi w nas odrazę. Chcielibyśmy jej z duszy wyrwać jakiś okrzyk, coś ludzkiego, choćby tylko krzyk bólesci. Ale nie — nic. Cesarzowa jest zawsze białą, kwitnącą jak róża, zdrową, a jeśli się poruszy, to jak automat, który przestrasza. Nie sądzimy, aby w następnych tomach mogła się nam objawić w odmiennej postaci.

Korrespondent wasz z Paryża wspomniał niedawno o pseudonimie, pod którym ukrywa się kobieta, dama znana dobrze i bardzo wzięta w najlepszym towarzystwie paryzkim (pani de Martel). I ja również miałem zamiar powiedzieć o niej słów kilka z powodu jej najnowszego romansu *Le Druide* (par Gyp). Miałem jej uczynić wyrzut za wybór przedmiotu i wytoczyć takisam proces Guy'owi de Maupassant za jego *Bel-Ami*. Ale otóż dowiaduję się z dzienników, które podają się za wszystkowiedzące, że *Druide* jest historią prawdziwą, w której sama p. Martel *mutatis mutandis* jest bohaterką — i co więcej, że ktoś strzelił do niej, i o mało co jej nie zamordował właśnie — ów Druid... Są to wszystko okoliczności zmniejszające winę.

W obu wyżej wymienionych powieściach przedmiot wzięty jest ze świata dziennikarskiego. Uderzyły mnie ponure barwy, w jakich ten świat występuje: a przecież powinien to być świat wyborowy, powinni do niego należeć tylko ludzie czysti i szlachetni; tymczasem są to szumowiny — zbieranina cheichych pyszałków bez wiary i sumienia. Wogóle możnaby zarzucić pisarzom francuzkim, że niesłychaną krzywdę wyrządzają swemu krajowi, przedstawiając go czytelnikom z jego najwstrętniejszej strony. W *Druide* jest to jeszcze wypadek odosobniony, figura wyjątkowa; Gyp pokazuje nam ją zdaleka; możemy jeszcze wierzyć, że nie wszystkie redakcje składają się z ludzi tej gliny, jak Druid. Ale w *Bel-ami* jest owiele gorzej. Czyliżby dziennikarze, a z nimi i dziennikarstwo znajdowało się już rzeczywiście w upadku? Czyżby nie było już niczem więcej, jeno polem działalności dla spekulantów, pragnących dorwać się do złotego cielca — ludzi bez serca i bez wstydu?! Niestety obraz jest może trochę za czarno malowany, ale niemniej opiera się na rzeczywistości. Obserwacja czerpała tu ze źródeł, które życie samo z siebie wydaje.

U Guy de Maupassant'a bohater jest wstrętnym. Mało zdolności, ani krzty serca — nic, prócz instynktów zwierzęcych i niesłychanego zuchwalstwa. Umie on przytem czarować, i dzięki temu nic oprzeć mu się nie może. Wciska się pomiędzy dziennikarzy, uwodzi wszystkie kobiety używa ich za narzędzia do torowania sobie drogi coraz wyżej i wyżej i staje wreszcie u szczytu swych pragnień. Ani sumienia, ani wyrzutów: straszliwa lodowatość, szatańskie wyrachowanie. „Bel-ami“ ma za sobą tylko swoją piękność i swo-

ję przewrotność. Prawdziwem to być może — ale jest obmierzłem. Świat otaczający niegodziwca składa się z ludzi, którzy niewielki zaszczyt przynoszą dziennikarstwu: gdzie więc podziwiają się te talenta, które zasilają dzienniki, czyniąc je zajmującymi? Autor tak daleko zaszedł w wyborze swych typów wielce oryginalnych i dobrze uwydatnionych, że samo istnienie dzienników uczynił dla nas niepojętem — powiedziałbym nawet: niemożliwym.

Jego *Bel-ami* nie umie pisać, kolledzy bohatera nie wiele-co więcej są warci jako pisarze; czuć tylko jakieś współpracownictwo niewidzialne, które robi za wszystkich, każdego wyręcza i zastępuje; ale takie współpracownictwo samo jedno na potrzeby wystarczyć-by nie mogło. *Bel-ami*, wzięty ze strony obyczajów współczesnych, uważany jako dzieło sztuki utrwała wziętość Maupassanta, pozyskaną już przez pierwsze utwory. Powieść ta napisana jest z talentem bardzo wybitnym, silnym, który nie cofa się przed rzeczywistością, ale nie wyszukuje umyślnie tego, co brudem i brzydota swoją odpycha. Wszystkie osoby występujące w powieści są prawdziwe i malowane ręką mistrza. Działanie rozwija się i postępuje w sposób naturalny, zwykłym biegiem rzeczy ludzkich na tym ziemskim padole. Zuchwalstwo wszystko zalewa; cyniczny złoczyńca nagrawa się z każdego uczucia ludzkiego — aż wreszcie staje u celu. Do Paryża przyjechał z 5-u frankami, ale umiał zażyć świata, wycisnął wszystko, sponiewierał wszystko: i oto jest milionerem.

Autor na tem się zatrzymuje; nie wdaje się w moralizowanie staroświecką manierą: każe odgadywać co się dalej stało. Szczęśliwy parweniusz będzie umiał zjednać sobie przebaczenie i zapomnienie; a świat jest tak podłym, że niezawodnie upadnie przed nim w prochu.

Przyglądając się bliżej temu „Bel-ami“, rozważając jego pochodzenie, jego przeszłość, temperament, który mu dała natura, przykłady, jakie mu życie samo nasuwało przed oczy — możnaby go nieomal uniewinnić, gdyż ani inteligencya, ani serce nie przemówiły nigdy do niego głosem rozumu lub uczucia, aby mu przedstawić całą ohydę jego czynów. Maupassant pozostawił bohaterowi pewne przywiązanie do rodziny, do starych rodziców, których utrzymuje, ale których unika, — bo się ich wstydzi.

Kobieta, uchodząca za „dziennikarkę“ w *Druide* stanowi godny odpowiednik do „Bel-ami“. Godna to siebie para.

W pierwszych swoich studyach, z zamasztyścią niezwykłą dramatyzowanych, Gyp obiecywał więcej, niż teraz dotrzymuje. Znikła w nim już oryginalność formy i kompozycy. *Druide* podobny jest do wielu drobnych romansów współczesnych, naszpikowanych zbrodniami, policyą, protokółami etc. Pisany jest sobotnim ścięgiem na niedzielny targ. Autorka nie troszczyła się o wrażenie, jakie wywoła całość obrazu. A ponieważ po kwasie siarczanym przyszedł teraz rewolwer, możemy się więc spodziewać w dalszym ciągu rzeczy jeszcze lepszych. Ale ja czytać ich już nie będę — i nie napiszę o nich sprawozdania.

Francuzi zaczynają coraz więcej tłómaczyć, nie wyjmując nawet powieści niemieckich. Wybór bywa częstokroć nie bardzo szczęsnym, ale każde piśmiennictwo zyskuje zawsze na przekładach to, że wprowadza nowe żywioły do własnego swego świata pojęć.

Alfons Daudet, o którym mówią, że zapadł na zdrowiu — po długim milczeniu ma nas obdarzyć dalszym ciągiem jednej z pierwszych swych powieści, w rodzaju humorystycznym *Tabarin de Tarascon en Suisse*. Nowy tom Zoli, mający nastąpić po *Germinalu*, wprowadzi nas do świata artystycznego. Domyślają się, że będzie miał tytuł: *L'oeuvre*. Sa to nowości najsilniej przyciągające, oczekiwane w jesieni. Październik zwykle stanowi epokę największej ruchliwości wydawniczej.

Warunki życia we wszechświecie.

(Dalszy ciąg).

VIII.

Bez wątpienia; — odpowiedzą nam przeciwnicy doktryny życia powszechnego — lecz w końcu istnieją przecież takie warunki, że natura, pomimo całej swej potęgi, nie będzie mogła ich opanować. Nie można już dziś wierzyć w salamandry, które według Starożytnych miały żyć w ogniu, ani w aniołów zamieszkujących próżnię. Nie wyobrażamy też sobie już szatanów we wnętrzu Kuli Ziemskiej. Przyroda sama w sobie jest logiczną: nie stwarza potworów.

Tak, odpowiadamy, istnieją w rzeczy samej granice możliwości życia, wszelako granice te znikają w miarę postępu wiedzy, a wreszcie my ich nie znamy. Co do potworów, napotykamy je wszędzie; względnie nas są one potworami, lecz nie względnie samych siebie. Nie będziemy tu mówić o jestestwach zanikłych, lub powstrzymanych w swym zarodkowym rozwoju; przyjmujemy poprostu wyrażenie potworności w znaczeniu jej pospolitem, powszechnem, i twierdzimy, że natura uzmysłowiła w swych tworach ziemskich kształty najosobliwsze, najdziwaczniejsze i najniedorzeczniejsze z punktu widzenia profesora historii naturalnej. — Moglibyśmy tu wymienić dziesięć, sto, tysiąc potworów; poprzestaniemy wszelako na jednym przykładzie, a w szczególności na potworze jestestwie *Eurypharynx pelecanoioides* z nadmiernie rozszerzalnym gardzielem, którego osada okrętu *Pracownik* wydobyła z głębi 2.300 m. niedaleko brzegów marokańskich. Astronom, badacz teleskopowy głębi Uranusa i Neptuna, pyta naturalistę z Muzeum: czy to zwierzę jest rybą skrzekiem, czy też płazem? — i pozyskuje wymijającą odpowiedź. Majtek, który je wydobył sznurkiem i złożył na pomoście okrętowym, mógł sądzić, że to tylko *lejek* i kto wie czy nie miał racyi. Okaz ten fauny dotąd całkiem nieznaney, to jestestwo składa się głównie z ogromnej paszczy bezzębnej, z lejka i ogona. Głowa tego potworka ma trzy centymetry długości, z których dwa przypadają na samą paszczkę, a długość reszty ciała dochodzi do czterdziestu czterech centymetrów (przeszło 18 cali polsk.).

Zwierzę to oddycha za pomocą pięciu skrzelii i zorganizowane jest w ten sposób, że może znosić ciśnienie kilkuset atmosfer. Istnienie życia w podobnych warunkach zaprzeczanem było aż dotąd — powiada p. Rousseau w artykule skreślonym o tym potworze w piśmie „l'Union scientifique“. Jakiż śmiertelnik odważyłby się twierdzić, że żyć można w takim ośrodku? Odkrycie tworu *Eurypharynx pelecanoioides* zadaje wielki cios teorii tych, którzy, opierając się na rzekomych granicach ścieśnionych życia, odrzucają zamieszkiwalność innych światów. Pan Faye w roku 1874 był gorliwym bardzo rzecznikiem tej opinii; odkrycie zwierzęcia, któremu nadano nazwę *Eurypharynx pelecanoioides*, zadało pierwszy fałsz jego teorii. Mamy nadzieję, że nowe odkrycia, niemniej zajmujące, jakkolwiek innego rodzaju, udowodnią czczość rozszczeń tych, którzy usiłują zamknąć w małych przestrzeniach potęgę Stwórcy Życia.

Ocean zaludniony jest jestestwami okazującymi niedołęztwo całej klasyfikacyi metodycznej. Każdy z nowoodkrytych organizmów przekracza granice, w jakich dotąd obejmowano warunki życia. A cóż dopiero się okaże, gdy rozpatrzemy się w istotach, jakie nas poprzedziły, jako mieszkańcy ziemi, w ciągu długiego cyklu wieków przedpotopowych?

IX.

I tu powołamy się na jeden tylko przykład, gdyż nie mamy na celu pisać wykładu historii na-

turalnej, lecz tylko chcemy przejrzeć wszechświat z biologicznego punktu widzenia i zestawieć wskazówki przyrody ziemskiej z naszym ogólnym pojęciem o wszechświecie.

Przykład ten zaczerpnijemy z epoki formacji jurasowej, to jest z epoki poprzedzającej nas o kilka milionów lat. Wyobraźmy sobie krajobraz z rozkrzewionymi araukaryami i sagowcami, wśród których przejawia się kolosalny *Stegosaurus* z ciałem pokrytem tarczami kostnymi i kolcami, tworzącymi straszliwą zbroję, i niezmiernie krótkimi członkami przednimi—lub komponentem innego rodzaju *Dinosaurius*, niemniej dziwnych kształtów; wreszcie potworne płazy latające w powietrzu, zwane *pterodaktylami*.

Nie jest-że to świat całkiem różny od naszego? Któż ośmieliłby się wymarzyć go, gdyby nie wykryto szczątków jestestw kopalnych? Ci mieszkańcy epoki drugorzędowej znikli w końcu okresu kredowego. Na całej Kuli Ziemskiej panował wówczas klimat właściwy dzisiejszym strefom gorącym; znaleziono bowiem wszędzie, aż do najdalszych szerokości geograficznych, teżsame rośliny i teżsame zwierzęta. Jestto wiek panowania płazów i jakich jeszcze płazów! *Brontosaurus* dosięgał wzrostem wysokości 16 metrów (55½ stóp polsk. prawie), i ważył przynajmniej 30,000 kilogramów! (blisko 740 centnarów). Każdy odcisk jego stopy zajmował przestrzeń 90 centymetrów kwadratowych (przeszło 37 cali kwadrat. polsk.). Inne znów zwierzę roślinożerne *Morosaurus* miało długości 13 metrów (45 stóp polsk.) a długości każdego z licznych jego zębów dochodziły 16 centymetrów (przeszło 6½ cali polsk.). *Cetiosaurus* Europejski nie ustępował bynajmniej w kolosalnym rozwoju dwóm poprzednim przedstawicielom fauny amerykańskiej, co łatwo pojąć, wiedząc, że kość jego udowa dosięgała długości 1,7 metra, to jest blisko sześciu stóp, a długości głowy z kolumną pacierzową wynosiła 12 metrów (przeszło 41½ stóp polskich!) co dawałoby na ogólną długość ciała 16 do 17 metrów, czyli 55½ do 59 stóp polskich! *Stegosaurus* były już mniej olbrzymiami; długość ich ciała nie przechodziła bezwzględnie 10 metrów, to jest 34½ stóp polskich. *Iguanodon*, wykryte w Belgii przed kilku laty, dosięgały długości 10 do 14 metrów; głowa największego z nich miała długości 1,2 metra, to jest przeszło 4 stóp polskich, a łapy przednie przechodziły wysokością 2½ metra, czyli miały blisko 9 stóp polskich. Wyobraźmy sobie to zwierzę — powiada p. Zaborowski—w postawie siedzącej; głowa powinna dosięgać wierzchołków drzew. Przerazającym byłby widok tej masy kolosalnej, poruszającej się w karłowatym, zacienionym świecie naszych klimatów—tej masy której sięgalibyśmy zaledwie do kostek. W rzędzie zwierząt jaszczurowatych, powiada Brehm, znajdowały się najkolosalniejsze zwierzęta lądowe, a wnosząc z dotąd poznanych ich szczątków, niektóre z nich dosięgały, licząc od koscicy paszczy do ogona 35 metrów, to jest 121 stóp polskich.

Nie wskrzeszając całego starożytnego świata *ichtyosaurów*, *plesiosaurów*, *labirynthodonów*, *paleotheriów* i ich rówieśników z prastarej fauny, okres zwierząt jaszczurowatych, na których tu powołaliśmy się, wystarcza nam do udowodnienia, pod wyglądem całkiem różnym od poprzednich okresów, różnaitości i zmienności produkcji siły życiowej, nawet na naszej małej planecie. I tu jeszcze natura odpowiada sama tym, którzy wątpią o jej płodności, a my do jej słów nie potrzebujemy nic dodać.

(Dalszy ciąg nastąpi).

OPALONE SKRZYDŁA

Z CZESKICH SZKICÓW

Edwarda Jelinka.

Trudno uwierzyć, jak się o nasze „diwadło“ lekamy. Troskliwość ta może się zdawać śmieszna,

lecz jest, wzięwszy wszystkie okoliczności w uwagę, najnaturalniejszym wynikiem rzeczywistości. „Ideal“ zbudował „złoty dom“ nad Wełtawą, „ideal“ go otaczał Niema w ziemiach korony św. Wacława budynku, którego historia połączoną była z uczuciami tak licznych warstw naszego narodu. A szczególnie od katastrofy, gdy na strzechę „złotego domu“ siadł „czerwony kogut“, drżymy na samą myśl...

Nie obawiam się zatem nazwy naiwnego człowieka, za to, co mam zamiar tu opowiedzieć. Wszyscyśmy jednak czuli i wrażenia moje mają za sobą potęgę wielkiej liczby.

Otóż jednego wieczora, zaprzeszłej zimy, zebrało się nas całe kółko znajomych w „Besedzie.“ Gawęda naszczyła się koło teatru, najpierw w zakresie spraw artystycznych; później zaczęliśmy grać na strunie narodowej, zawsze tak dźwięcznej, tak drogiej, aż nakoniec wpadliśmy na temat fatalnego pożaru. Wszyscy byliśmy świadkami tej katastrofy i każdy mógł opowiedzieć wszystkie szczegóły. Tego wieczora nie mówiono już o niczem innym, tylko o pożarze i kiedyśmy się rozchodzili, umysły nasze przepelnione były ponuremi wspomnieniami fatalnego dnia 12 Sierpnia (1881 r.).

Powróciłem późno wieczorem do domu. Zapaliłem cygaro, pochodziłem chwilę po pokoju, lecz w żaden sposób nie mogłem się uwolnić od ponurych wspomnień: zawiele się o tem mówiło. Obraz teatru w dymie i płomieniach ciągle nownie wracał przed oczy.

Nawet we śnie nie miałem spokoju. Około trzeciej po północy obudziłem się nagle. Wystraszony, wstałem i rozejrzałem się wokoło siebie. Zimne krople potu, jakby ze strachu, spadały mi po czole. Tfu! szkaradny sen! Śniło mi się, że się „złoty dom“ nasz palił, widziałem na dachu, prawda, mały tylko płomień, ale i ten wystarczył do wzbudzenia trwogi.

Precz, precz... szkaradne widmo! Popatrzyłem z okna na ulicę... wszędzie cicho i pusto. Nigdzie luno. Położyłem się więc znowu, lecz zasnąć już nie mogłem. Chorobliwa jakaś imaginacya ciągle mnie prześladowała, chwilami nawet porywał mnie strach ze zdwojoną siłą i ukazywał mi przed oczyma płomień na dachu „złotego domu“, jak rósł, ciągle, stopniowo i budynek cały ogarniał.

Strach ma wielkie oczy, mówi czeskie i polskie przysłowie, a jednak mimo najzupełniejszego przekonania, że to wszystko było prostem przywidzeniem, nie wytrzymałem!

Zerwałem się na równe nogi i w pięć minut byłem już ubrany. w drugie pięć biegłem już w stronę teatru. W każdym razie lepiej się przekonąć—mówiłem do siebie—bo i tak nie miałbyś spokoju.

Na ulicy było zupełnie pusto, bardziej może, niż w inne dni, bo była to noc, co się u nas zowie „psia.“ Wicher dzwonił w pogaszone już latarnie, z czarnego nieba padał deszcz ze śniegiem i tylko tu i owdzie spotkałem patrol nocnej policji. Lecz nie zwracałem na nie uwagi, ani na to, żem się za lekko ubrał, i że słotna zawieja niemilosiernie smagała mnie po twarży. Tajny jakiś ogień gnał i pędził mnie do teatru.

A kawał drogi!

Nareszcie stanąłem przed gmachem „diwadła.“ Odrzucałem rękawice i leż oddech. Mój Boże, jak śmiesznym może być człowiek w ogniu swoich ideałów!

„Diwadło“, ten złoty nasz dom, stał na brzegu Wełtawy, dumny jak fenix, jak ołtarz nieporuszony. Białe jego filary wzbijały się spokojnie ku górze i z dziwną powagą przebijały cienie słotnej nocy.

Powoli wracał do duszy spokój. Obejrzałem teatr naokoło, zajrzałem do izby stróżów i znalazłszy wszędzie należący porządek, chciałem już wracać do domu z tej niezwykłej wycieczki.

Lecz dopiero teraz, uspokoiwszy się należycie, poczułem zimno, które mnie nawskroś przenikało; drżałem.

Gdzie tu wpaść, żeby się ogrzać? Napowrót kawał drogi, długiej, puste, ponurej. Nadto, pomyslna ekskursya podnieciła humor do nocnego tułactwa.

W tej chwili przypomniałem sobie, że niedawno jest jakaś winiarnia, zwykle otwarta przez całą noc aż do rana. Ta mogłaby podwoje swoje gościnnie otworzyć nocnemu tułaczowi i pomódz mu do rozgrzania się i wypoczynku. Pamiętałem, że w tej winiarni bywały dobre wina, szczególnie tak zwana „turecka krew“, przy której nieraz wesoło śpiewano pieśni, dozwolone i — *verboten!*

A może znajdziesz tam kogo... takiego, jak ty, samotnego człowieka.

Niedługo się namyslałem i skrzyłem ku winiarni. Jest to niska, ciemna nora, taka, jakich i w Warszawie nie braknie. Mogą tam chodzić tylko ludzie, których pretensye są skromne. Oprócz dobrego, niefałszowanego wina nie można tam znaleźć prawie nic porządnego. Nawet i właściciel, figura niepokojna — to gbur, barczysty, z czerwonym nosem i rzadko kiedy czesana broda. W izbie źle wentylowanej kilka stolików i na krzesłach kilku ludzi, najrozmaitszego moralnego kalibru. Jeżeli wpadniesz do takiego lokalu w późniejszej porze, to możesz być przekonany, że kilku z obecnych gości ma głowy spoczywające już na twardych deskach okrągłych stolików.

Otóż dziś niepozostało mnie, zmęczonemu, nic innego, jeno szukać ciepła i posiłku w tak nieucieszej miejscowości.

Wszedłem. Połowa płomieni gazowych była już pogaszona, tylko w rogu nad małym stolikiem liche migotało światełko; ledwie że przebić się mogło przez dym cygara, który ciągnął się po izbie, układając się warstwami w powietrzu. Przychodziło mu to łatwo, bo w izbie nie ani drgnęło. Spokój zupełny.

Przy piecu siedział gospodarz, ujęty już snem sprawiedliwego i tam przy małym stoliku—jedyne gość.

Dziwny traf! Znałem tego człowieka oddawna, powiem nawet, że zostawałem z nim dawniej w pewnym prawie przyjaznym stosunku. Była to dla mnie zagadkowa postać, postępowania jej w żaden sposób nie uniałem sobie objaśnić.

Nazywaliśmy go zawsze poprostu „Toniczku“ i uprzyjemniał on już w latach studenckich kawalerskie nasze życie. Był dobrym muzykiem, może kandydatem do artystycznej nieśmiertelności, ale na gwiazdach inaczej jakoś zapisane było. W czasie, gdy zajmowałem się studowaniem narodowych pieśni plemion słowiańskich, Toniczek zawsze był do moich usług. Ze wszystkimi nutami narodowych pieśni i melodyi, które mi wpadły do rąk, udawałem się do Toniczka, i on każdą pieśń gorliwie przegrywał dwa... i trzy razy. Przez to zobowiązałem go do szczerzej wdzięczności i, chociaż później o nim to i owo mówiono, zawsze broniłem jego osoby, która nigdy nie przestała dla mnie być sympatyczną. Zresztą nikt o Toniczku nie mógł powiedzieć nic złego, chyba tylko to, że przestał już być dla wszystkich uczynnym.

A był czas kiedy nie odmawiał nikomu swoich usług. Nie było wieczorku muzykalno-deklamacyjnego, gdzieby Toniczek nie uczestniczył i na programacie nie figurował. Szukali go też wszyscy, szczególnie komitety urządzające wieczorki, bo z każdym dniem popularność Toniczka rosła. Grał istotnie bardzo pięknie, prócz tego towarzyski jego takt i niezależne stanowisko zjednały mu w najszerszych kołach naszego towarzystwa ogólne uznanie.

Lecz to wszystko tylko do pewnego czasu. Na wszystkie strony uczynny Toniczek odrzucał przestał być „naszym Toniczkiem.“ Zdawało się, jakoby wszystkie jego cnoty przepadły bez śladu, jak owe widma w prastarej jednej bajce słowiańskiej. W koncertach przestał uczestniczyć, zapraszany na wieczorki, wręcz odmawiał, nawet na takie, które urządzono na cele narodowe; ludzi unikał, stał się nietowarzyskim, nawet, mówili niektórzy, nieznośnym.

Różni różnie objaśniali zmianę spostrzeżoną w charakterze Toniczka. Najwięcej było takich, którzy twierdzili, że zepsuła go zyczliwość ludzka a pycha własna. Pisano o nim niegdys pochlebnie w gazetach, wróżąc mu świetny mistrzowski zawód; bito mu huczne oklaski, które

grzmiała bez końca. robiono mu komplementa i grzeczności: i to go właśnie zepsuć musiało. Rzecz prosta: wskutek powodzenia i pomysłnego rozwoju talentu stał się nie przystępnym, zarozumiałym, — „wielkim panem.“ W owym już czasie i ja miałem raz do niego interes. Odebrawszy z Galicyi nuty ślubnych pieśni ludu z okolic Sandomierza, które nadzwyczaj mnie zajęły, udałem się, jak zwykle, do Toniczka z prośbą, żeby mi te melodye przegrał. Ale zawsze usłużny Toniczek delikatnie dał mi do zrozumienia, żebym mu z mojami melodyami ludowymi i chłopskimi śpiewkami dał pokój. Powiedział mi to delikatnie, w jakiejś formie melancholicznej, lecz bądź co bądź, zrozumiałem go i nie trzuliem już od tej chwili żadnymi prośbami. Wystarałem się o innego „nadwornego“ muzyka dla moich pieśni, który za skromne honorarium to samo robił, tylko, że nie tak ładnie i nie z takim artystycznym zacięciem, jak Toniczek; ale cóż robić...

W takim składzie rzeczy stało się, żeśmy o Toniczku prawie zupełnie zapomnieli. Zdarza się to tak na świecie: pamiętamy o ludziach wtedy, kiedy z nich korzystamy. Toniczek przestał być dla nas użytecznym: zatem... idź sobie! Powoli mówiono o nim tylko przypadkowo, jako ogwiazdce spadłej z nieba, na którym nigdy nie miała prawa świecić. Otóż tego dziwnego człowieka spotkałem dziś po upływie trzech lat w odrażającej atmosferze nocej winiarni.

Mój Boże! Jak się ten Toniczek w przeciągu tego czasu odmienił! Do niepoznania! Z chłopaka dawniej wesołego i pełnego życia stał się najsmutniejszym prototypem samotnika. Sam jeden siedział przy stoliku, z cygarem w ustach, i patrząc w sufit, puszczał z ust gęste obrączki dymu. Jedną jego ręką podierała głowę, a palce drugiej spoczywały na marmurowej płycie stolika, zdawało mi się jakby się te palce szybko poruszały... jakby dotykały delikatnie klawiszów.... A i twarz jego nie ta, co dawniej; został jej jeden tylko dawniejszy rys: wyraz szlachetności, z którą połączyła się teraz jakaś tajona, cicha, przed wrokiem ludzkim chroniąca się boleść.

Niespodziane spotkanie Toniczka trochę mnie zadziwiło, nawet zaciekawiło. Zauważywszy, że nie zwrócił na mnie uwagi, bez długiego namysłu przystąpiłem wprost do niego.

— Na zdar, Toniczku!... Piękny z ciebie tulak — odezwałem się umyślnie tonem trochę wesołym.

Dopiero teraz obudził się z głębokiej zadumy Toniczek, zmierzzył mnie przenikliwym wzrokiem i po namyśle powitał lekkim skinieniem głowy. Co więcej, nawet sam mi przysunął krzesło, jakby rad był z mego towarzystwa.

Z początku myślałem, że się spyta: z kąd ja się tutaj zjawiam o tej godzinie? Ale on milczał i przez parę minut nie przemówił ani słowa.

Nie wiedziałem jak zawiązać rozmowę, bo to trudno z „chorym“, o którym się nie wie, jaka go dręczy choroba.

Po chwili spytałem się go dosyć niezręcznie, czy czytał Sienkiewicza „Janko Muzykant...“ Głupie pytanie.

Toniczek kiwnął głową — i milczał znów.

Wśród całkiem niemiłego milczenia przepędziliśmy razem kilka minut. Nareszcie i mnie poczęła nudzić otaczająca nas grobowa cisza, tembardziej, iż na niemej twarzy nocnego towarzysza tyle wyczytałem w przeciągu paru minut zagadek.

(Dokończenie nastąpi).

ZIMA W FU-CZEU

SKICZ GEOGRAFICZNY

przez panią L. P.

przekład z Francuzkiego.

(Dokończenie)

Życie w Fu-Czeu upływa regularnie i jednorodnie. Mężczyźni zajmują się interesami, nie męcząc się jednak bardzo, bo od 10-ej rano, do 11½ i od 1-ej po południu do 3-ej. Potem następuje najczęściej spacer w lektyce, a rzadko wierzchem. Jeden tylko prawie konsul amerykański cały dzień przepędza na starym siwym koniu, lecz to dlatego, że ma przyprawioną drewnianą nogę. Wieczorem idą do klubu na grę w karty, w bilard i na rozmowę o kursach. Każdy ma konie, które pędzi z Pekinu do Szang-Hai, a zamtąd do Fu-Czeu, do Swatawy, Hong-Kong, lecz nikt na nich nie jeździ wierzchem. Zamiast zwiedzać i poznawać kraj, rozmawiają tylko o prędkim biegu kuców chińskich. Konie te mają krótkie nogi, szczególnie przednie, głowę grubą i ciężką, a są tam tak pielęgnowane, jak konie najdroższej rasy. Po kilku miesiącach trudów i kosztów biegają po polu wyszczególnionym, urządzonym na sposób pól w Longchamps. Jest to ulubione zajęcie Europejczyków w Chinach.

Podczas kilku miesięcy przygotowań do wyścigów uczęszczają oni do kawiarni sąsiadującej z takim polem, gdzie piją, zaczawszy od siódmej rano, a nawet bez przesady gentelmeni upijają się. Naturalnie, że pomimo najszczerzej chęci nie mogłam brać w tej zabawie wyścigów udziału. Chińczycy zaś naśmiewają się z tego szkaradnego nałogu *Dyabłów morskich*, jak nazywają Europejczyków.

Pogrzeby w Fu-Czeu nie ustają od rana do wieczora. Oprócz nich jest tam jeszcze inny rodzaj dystrykcji bardzo niemiłej, mianowicie sposób oczyszczania domów. Wytlómaczy się jaśniej. Towarzystwa oczyszczającego miasto nie ma w Chinach, a funkcją jego pełnią mężczyźni i ładne kobiety chińskie, wystrojone w srebrne, duże kolczyki i takież szpilki w wysokiej fryzurze, z przypiętym świeżym bukietem o żywych kolorach. Czynność ta odbywa się zwykle około godziny czwartej po południu, wtedy właśnie, kiedy publiczność wychodzi używać świeżego powietrza na przechadzkę. Eleganckie damy, noszone w lektykach, zmuszone są używać ciągle flakonów z perfumami i pulweryzatorów. Oto rys charakterystyczny zwyczajów chińskich.

Lubiłam błądzić po mieście; lecz trzeba było się pilnować, aby wrócić przed szóstą, gdyż stróżom zabronione było otwierać później bramę pod karą pięćdziesięciu bambusów. To też nie łatwo ich przekupić.

Zrobiłam też wycieczkę do klasztoru Ku-Czau, na górze Tambur. Statkiem dopłynęliśmy do stóp tej góry, najwyższej z otaczających Fu-Czeu. Kamienne schody prowadzą od dołu na szczyt góry. Kazałam się wnieść w lektyce. Co kwadrans przechodzi się przez małe kapliczki, zastawione statkami bogów. Stróże tych kapliczek podają gościom herbatę. Po obu stronach drogi, widać malownicze napisy na kamieniach lub skałach, na — utwory zwiedzających poetów i ludzi piśmiennych. Im wyżej się wchodzi, tem

wspanialszy się nam pojawia krajobraz, przypomina on miejscami Szwajcaryą, a miejscami Alpy północno-włoskie. Lasy jodłowe pokrywają te góry. Schody prowadzą wokoło, pośród drzew, które rosną 500 metrów nad poziomem morza. Potem uciążliwym wchodzeniu przybywa się do klasztoru, który jest tak wielki, jak Lamozarye w Pekinie. Założony został w roku 784 i ma pomieszczenie dla dwóchset mnichów. W przedsiönku tego największego klasztoru chińskiego znajdują się cztery ogromne figury, przedstawiające protektorów religii buddyjskiej.

Przeznaczono nam na spożycie obiadu jedną z cel, otoczonych estradą, pokrytą czarnym sukniem, na którym są ustawione bóstwa. Nasi lokaje bez żadnego uszanowania dla bogów, nakryli stół i otoczyli go fotelami, przeznaczonymi dla bożków. Zwiedziliśmy okolice świątyni, pokłoniliśmy się posągom trzech bóstw buddyjskich, a potem poszliśmy zobaczyć basen zarybiony ogromnymi świętymi karpiami. Doszliśmy wreszcie do świątyni zbudowanej pod skałą. W lesie słychać rozlegający się zamtąd dźwięk gongów w regularnych interwałach. Gong ten jest wprawiany w drganie przez krystaliczną wodę strumyka, który ma jeszcze przywilej dostarczania najlepszej w świecie wody na herbatę. W środku lasu dźwięki tego gongu powracają w regularnych momentach, sprawiając niewypowiedziane miłe, wdzięczne wrażenie. W skałach wykute są cele dla księży, którzy rozmyślają w ustroniu nad przepisami swej sekty. Chodziliśmy tak po górach, aż do ukazania się księżyca, a około dziesiątej wieczorem dotarliśmy do brzegu Minu. Przybyłam do domu jeszcze na czas, aby ujrzeć ostatni dzień święta światła. Z domu mego, zbudowanego na wyniosłości, widziałam błędzące processy ze światłami. Co chwila dawały się słyszeć krzyki, wydawane przez Chińczyków, którzy, skończywszy jedną bójkę, rozpoczynali drugą.

W parę tygodni później byłam w Anwy, a w Kwietniu z żalem opuściłam Chiny. Kraj ten mało jeszcze jest znany Europejczykom, którzy przyzwyczajeni są mówić o Chińczykach, jak o ludziach z nieczynnym umysłem i niezdolnych do poważnej nauki. Tymczasem Chińczycy są narodem silnym, energicznym i inteligentnym, mającym wielką przyszłość przed sobą. Ta masa stworzeń ludzkich może kiedyś wystąpić z brzegów i jak nieczem niepowstrzymany potok rozlać się po Europie. Mocarstwa powstają i upadają. Nie ulega wątpliwości, że kiedyś będziemy musieli liczyć się z 500 milionami ludzi, rojących się na przestrzeni zbyt ciasnej. Któż zna niespodzianki, które gotuje nam Azja ten ład tajemniczy, niewyczerpany w bogactwach nagromadzonych i jeszcze niezużytych?

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się dokończenie powieści pod tytułem: *Opuszczona*, przez Mrs G. W. Godfrey; oraz arkuusz 1-szy powieści pod tytułem: *Kora*, przez Mrs Forrester.

TREŚĆ. Zjazd pedagogiczny w Przemyślu (dalszy ciąg). — Kartka z pamiętników poety, III, (dokończenie), przez Szczęsną. — Piosnka ludowa, poezya, przez Żambra. — Przeklęta wiosna, nowella, przez Bronisława Grabowskiego. — Listy z Magdeburga XV, J. I. Kraszewskiego. — Warunki życia we wszechświecie. (dalszy ciąg) przez K. Flammariona. — Opalone skrzydła, szkice z Czeskiego, przez Edwarda Jelinka. — Zima w Fu-Czeu (w Chinach), szkic geograficzny, (dokończenie), przez panią L. P.

Dodatek obejmuje: Dokończenie powieści pod tytułem: *Opuszczona*, przez Mrs G. W. Godfrey; oraz arkuusz 1-szy powieści pod tytułem: *Kora*, przez Mrs Forrester. — 26 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem — *Sekreta gospodarskie*. — *Dyspozycyą stołu*.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 14 Августа 1885 года.

DODATEK DO BŁUSZCZU.

Nr 34.

Wzory ubiorów i robót

z najlepszego pisma paryzkiego

MODE ILLUSTRÉE (Bazar)

jednocześnie i li tylko w *Bluszczu* ze wszystkich pism polskich są podawane.

Bielizna kobieca.

Materyały używane na bieliznę kobiecą i męską, nie ulegają zmianom mody i dziś, jak dawniej, używają na to przeróżnych wyrobów z lnu i bawełny, robiąc koszule prawie wyłącznie z płótna, a inną bieliznę z tkanin bawełnianych różnej grubości i gatunku, główną uwagę zwraca się tu na wygodny i ładny fason, oraz ozdobne wykończenie; najbardziej używane są do przybrania bielizny niciane i szydełkowej roboty koronki, ząbki fabryczne lub dziergane, hafty białe, a nawet kolorowe, te ostatnie najczęściej w dwóch kolorach: pasowy z szafirowym lub kremowym. Kolorowe i nocne koszule, ranne lub nocne kaftaniki z lekkiej wełny, surowego jedwabiu, wełnianej krepy lub flaneli zdrowia, ozdabiają się białymi koronkami, haftami i kokardami ze wstążki.

Rażący kontrast z elegancją i ozdobnością bielizny z płótna i bawełnianych materyi, przedstawia prosta cielistego koloru bielizna trykotowa, pozbawiona wszelkich upiększeń, lecz za to przedstawiająca wszelkie zabezpieczenie od zaziębienia i ułatwiająca wskutek swej dziurkowatości wydzielenie potu. Zwolennicy tego rodzaju bielizny używają koszul nocnych i dziennych, majtek, kaftaników, pasów, gorsetów, pończoch, skarpetek, jak również

prześcieradeł, poszewek, oraz kołder z wielbłądziej sierci, inni zaś tylko kaftaników, które zakładając się zwykle szeroko na piersiach, zabezpieczają od przeziębienia, przez co są bardzo użyteczne dla osób, zwłaszcza delikatnych, dla pań zaś mogą być trochę wycięte i z krótkimi rękawami. Wszystkie te trykotaże mogą być doskonale prane i wypłukane w zwyczajnej wo-

dzie; nienależy ich tylko wyzymać, gdyż tracą swą miękkość i elastyczność.

Rozety na serwetę robotą szydełkową.

Rycina Nr 4 i 5.

Rozety te robią się z krętej bawełny Nr 50; większa, przedstawiona na ryc. 4, składa się z małej środkowej rozetki i 8 kwadracików (ryc. 5), robionych osobno, następnie połączonych w robocie i otoczonych w koło jeszcze dwoma rzędami. Każdy kwadracik zaczyna się na założeniu z 12 oczek powietrznych, które za pomocą ścisłego oczka złączyć w kółeczko i robić kolej 1: 4 pow. ocz., 5 podw. słup., 3 razy naprzemian: 7 pow. o. 6 podw. słup., potem 7 pow. o. i 1 o. ścis. w 4 o. z pierwszych 4 powietr. oczek tejże kolei. Kolej 2 ciągle: 1 o. ścis. w każde ocz. poprzedniej kolei, a w środkowe z 7 pow. ocz., 3^o ścis. o. W ten sposób robią się kwadraciki, a każdy następny zaczyna się narożnym ocz. o poprzedni. Następnie robi się w koło kwadracików rozetki kolej 1: * 1 słupek w 4 oczko z wolnych jeszcze ocz. kwadracika, 3 razy naprzemian, 2 pow. ocz. 1 słup. w trzecie oczko, potem 2 pow. ocz., 2 słupki przedzielone trzema pow. o. w środkowe z trzech ścis. ocz., 2 pow. ocz., 1 słup. w drugie ocz., 3 razy naprzemian: 2 pow. ocz. i 1 ścis. w trzecie ocz., od * powtórzyć jeszcze



Plecy. Nr 1 i 2. Kostium podróży z materyału „Loden”. Przęd. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 37-42.

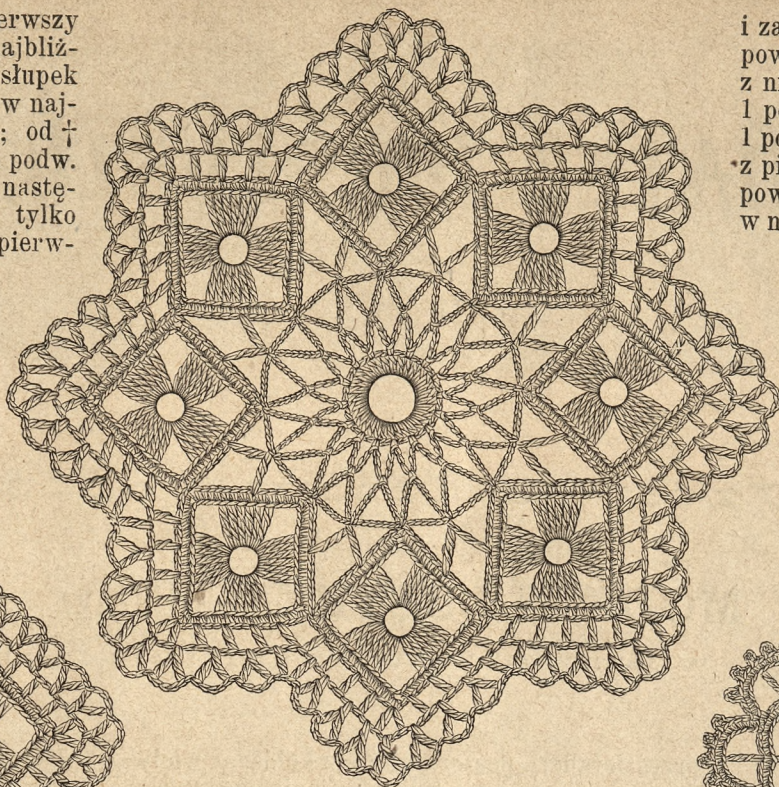
Nr 3. Sukienka dla dziewczynki od 4 do 6 lat. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 12-18.

7 razy, a na końcu jedno oczko ściśle w pierwszy słupek tejże kolei. Kolej 2: 1 ściś. ocz. o najbliższe 2 ocz. pow., * 4 pow. ocz., † 1 podw. słupek o następne 2 pow. ocz., 3 pow. ocz., 1 słupek w najniższą pętelkę ostatniego słupek., 1 ocz. pow.; od † powtarzać jeszcze 6 razy, potem 1 słupek podw. w najbliższe 2 pow. ocz. 1 słupek podw. w następne 2 pow. ocz., od * 7 razy powtórzyć, tylko przy każdym powtórzeniu robić zamiast pierwszych 4 pow. ocz. tylko 1 oczko, a na końcu zamiast 1 słupek., 1 ocz. ściś. w 3 z 4 ocz. pow. tejże kolei. Dalej robi się 1 kolej wewnątrz kółka z kwadracików: * 1 ściś. ocz. w oczko na końcu rogu kwadracika, 5 pow. ocz., 1 słupek potrójny w ósme oczko ściś., 1 podw. słupek. w ósme ściś. ocz. następnego kwadracika, ściągnięty z poprzednim słupekciem w jedno o., 5 pow. ocz., od * jeszcze 7 razy powtórzyć, na końcu 1 ściś. ocz. w pierwsze ocz. ściś. tejże kolei. Następnie robi się środkowa rozeta zaczynając na kółeczku z 16 pow. ocz. Kolej 1: 3 o. pow., 31 słupek. o kółeczko, 1 ściś. ocz. w 3 z 3 pow. ocz. Kolej 2: 16 razy naprzemian: 7 pow. ocz., 1 ściś. o. w drugie ocz. poprzedniej kolei. Kolej 3: 4 ściś. ocz. w 4 najbliższe ocz. poprzedniej kolei, potem 16 razy naprzemian, 15 pow. ocz., 1 ocz. ściś. w środkowe z 7 pow. ocz., zaczepiając środkowe z tych 15 ocz. naprzemian: to o ostatnią pętelkę dwóch słupeków kolei robionej wewnątrz kółka z kwadracików, to o ostatnie ocz. na rogu kwadracika; ostatnie ocz. ściś. zrobić w 4 z 4 pierwszych ocz. ściś. tejże kolei. Takie duże rozety łączą się za pomocą małych rozetek (ryc. 5), na które trzeba zrobić kwadracik jak wyżej opisany, a w około 2 koleje odpowiednie tym, które otaczają duże rozety.

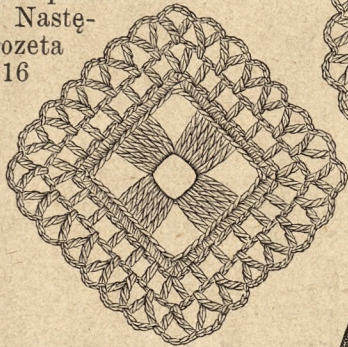
Rozeta szydełkową robotą.

Rycina Nr 6.

Rozeta robi się z krętej bawełny Nr 70.



Nr 4. Rozeta na serwetę szydełkową robotą. (Do ryc. 5).



Nr 5. Rozetka do r. 4 robotą szydełkową.



Nr 7. Serweta sukienka haftowana. (Do ryc. 8). Wzór odwr. str. tabl. Nr XIV, fig. 51.

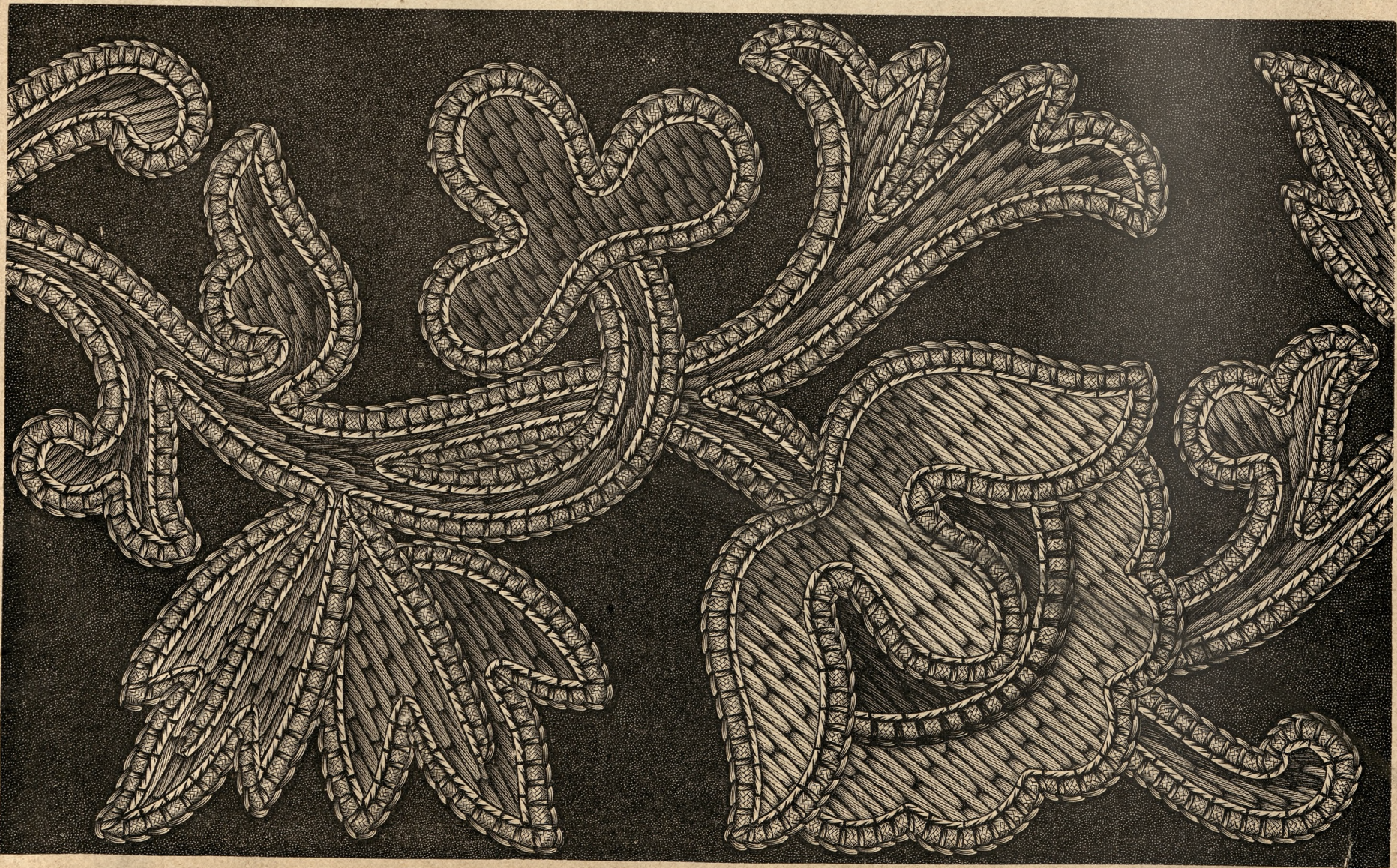
i zaczyna się na kółeczku z 5 pow. o. Kolej 1: 5 pow. o., * 1 pikot (5 pow. o. i 1 ści. o. w pierwsze z nich), 2 pow. o., 1 słupek podw. w koło kółeczka, 1 pow. o. od * powtórzyć 7 razy; na końcu zamiast 1 podw. słupek. i 1 pow. o. tylko jedno ściś. ocz. w 4 z pierwszych 5 pow. o. tejże kolei. Kolej 2: 11 pow. o., potem 7 razy naprzemian: 1 słupek podw. w najbliższy podw. słu. poprzedniej kolei, 7 pow. o. na końcu 1 o. ści. w 4 z 11 pow. o. Kolej 3 ciągle: 1 ści. o. w każde o. poprzedniej kolei. Kolej 4: 2 ści. o. w najbl. 2 pow. o. poprzed. kolei, * 3 ści. o. w następ. 3 pow. o., 6 pow. o., 1 podw. słu. w trzecie o., 6 pow. o., 2 o. opuścić, od * powtórzyć jeszcze 7 razy; na końcu 1 ści. o. łań. w 1 z 3 ściś. ocz. tejże kolei. Kolej 5: * 1 ściś. ocz. w najbliższe ocz., 1 ocz. opuścić, 14 ściś. ocz., z których 3 i 4, 5 i 6, 7 i 8, 9 i 10, 11 i 12 przedzielone 1 pikotem, w następne 13 ocz. (w podw. słupek. zrobić 2 ści. ocz.) 1 ocz. opuścić; od * 7 razy powtórzyć, na końcu 1 ściś. ocz. w pierwsze ściś. oczko tejże kolei.

Serweta z sukna haftowana.

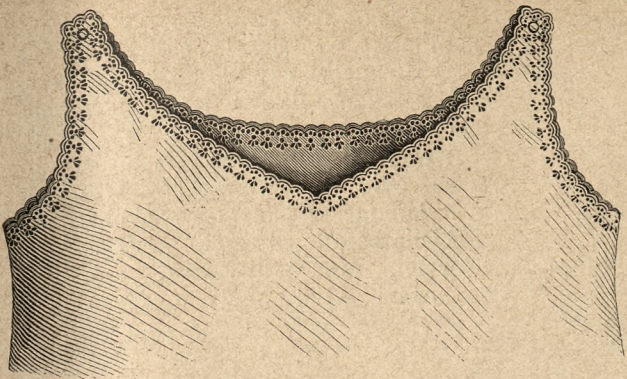
Rycina Nr 7 i 8. Deseń odwr. str. tabl. Nr XIV, fig. 51.

Nr 6. Rozetka szydełkową robotą.

Serweta zrobiona z ciemno-pąsowego sukna, na podszewce przybrana haftowanym szlakiem i oszyta grubym różnobarwnym sznurem. ułożonym na rogach w trzy pukle. Na zrobienie szlaku trzeba deseń fig. 51 i ryciny 8 przenieść na sukno, z uwagą na ryc. 7, ułożyć wzdłuż konturów jasno-szary, dość gruby sznur i przyszyć go dzierganym ścięciem oliwkową i pąsową włóczką, obwieść wewnątrz konturów złotym sznurkiem, przymocowując go poprzecznymi ścięgami pąsowym jedwabieim następnie zahaftować duże kwiaty długimi mijanami ścięgami, orzechową, brązową i oliwkową włóczką, małe kwiatki, niebieskim kolorem: gałązki oliwkowym i jeszcze jakim modnym kolorem w dwóch cieniach. Znajdująca się na środku tej ser-



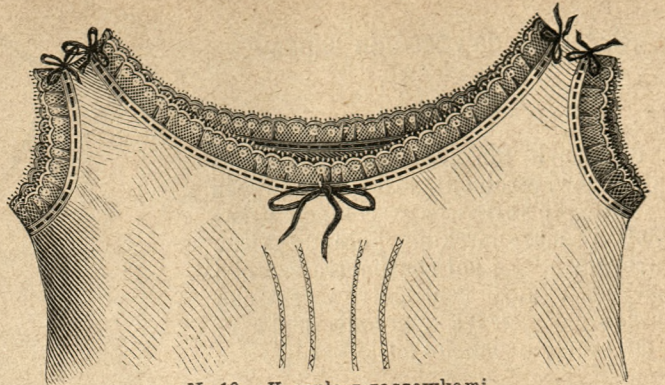
Nr 8. Część szlaku do ryc. 7. Dalszy ciąg wzoru odwr. str. tabl. Nr XIV, fig. 51



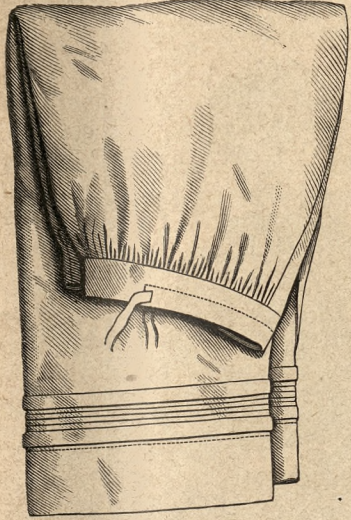
Nr 9. Koszula zapięta na ramionach.
Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 49.



Nr 11. Kaftanik nocny z szyrtyngu.
Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 19 do 21.



Nr 10. Koszula z zaszewkami.
Krój i opis pierw. str. tabl. Nr V, fig. 22.



Nr 12. Majtki dla pań z szyrtyngu.
Krój i opis odwr. str. tabl. Nr X, fig. 43 i 44.



Nr 14. Koszula nocna dla pań.

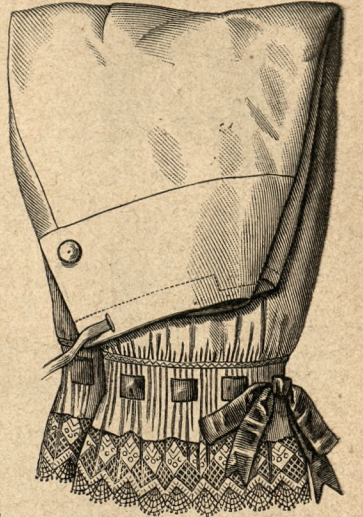
Koszula nocna damska.

Rycina Nr 14.

Koszula nocna zrobiona z kambryku, a przybrana fałdowanym napiersnikiem, ranwersami, kołnierzykiem i mankietami z koronki, oraz kokardą z atlasowej wstążki.



Nr 15. Koszula nocna dla pań.
Krój i opis pierw. str. tabl. Nr XI, fig. 45—48.



Nr 13. Majtki z batystu.



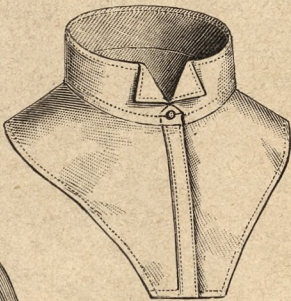
Nr 19. Spódnica z szyrtyngu.

wety mała serwetka, zrobiona z kremowej materyi i zahaftowana różnobarwnym jedwabiem i cienkim złotym sznurkiem.

Majtki damskie z batystu.

Rycina Nr 13

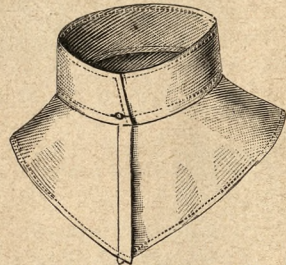
Majtki te zrobione są z batystu, wszyte w szeroki pasek, u dołu zmarszczone i oszyte 90 cent. szeroką falbaną ułożoną do połowy szerokości w zakładki i oszytą u dołu szeroką koronką klockowej roboty; w odstepie 2 i pół cent. od góry, pomiędzy zakładkami porobione 2 i pół cent. szerokie przecięcia, których brzegi obdziergane białą bawełną, przez nie przewleczona atlasowa wstążka, związana z przodu na kokardę.



Nr 16. Kołnierzyk damski z odwiniętych różkami.
Krój i opis pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 23—25.



Nr 18. Koszula płócienna damska.
Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 8—11.



Nr 17. Kołnierzyk dla pań stojący.
Krój i opis pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 26.



Nr 20. Spódnica z barchanu.
Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 50.

Spódnica z szyrtyngu.

Rycina Nr 19

Spódnica objęta u dołu 13 cent. szerokością haftowaną falbanką, przyciśniętą wążuchną plisną; nad falbanką sześć wąskich zakładek; u góry oraz w połowie długości zrobione ściąganie i przez nie przewleczona biała tasiemka. Spódnica ma z przodu 102, a z tyłu 106 c. długości; przedni bryt u góry 50, a u dołu 66 centymetrów, boczny ma u góry 22, u dołu 32 centymetrów; tylny zaś ma 80 centymetrów szerokości.



Nr 21. Płaszczyk do czesania włosów.
Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—7.

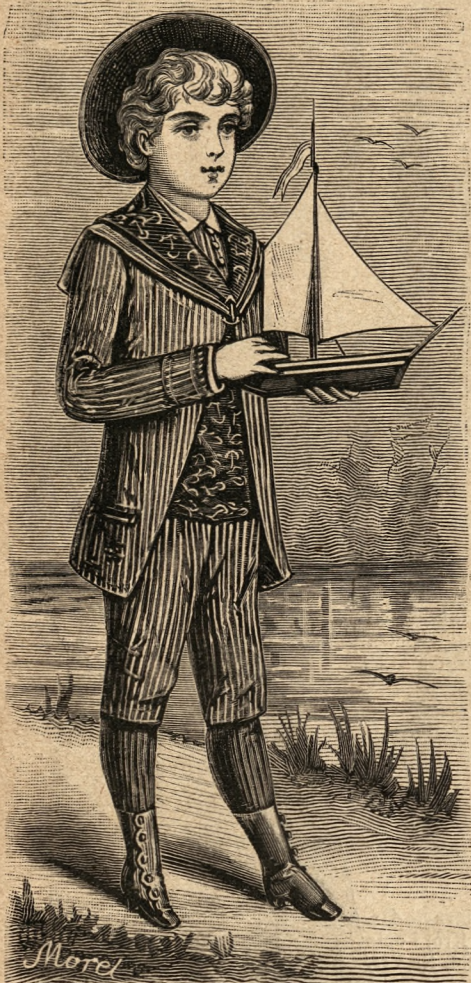


Nr 22. Płaszczyk do czesania włosów.

Płaszczek do czesania włosów.

Rycina Nr 22.

Płaszczek ten negligowy do czesania włosów, zrobiony jest z materiału zwanego „kembrik“, z szerokimi rękawami i marynarskim kołnierzykiem, przybrany dwa i pół centimetra szeroką wszywką i pięć centimetrów szeroką koronką. Płaszczek z przodu, pod szyją, ma szarfy związane na kokardę.



Nr 25. Ubranie dla chłopczyka od 7 do 9 lat. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 27—36.

Sukienka dla dziewczynek od 4 do 6 lat.

Rycina Nr 23.

Sukienka z blade-różowej satyny, pokryta koronkowym materiałem, a przybrana koronką i kokardami z atlasowej wstążki, 3 i 6 centymetrów szerokiej.

Sukienka dla dziewczynki od 5 do 7 lat.

Rycina Nr 24.

Sukienka ta zrobiona z blade-niebieskiego woalu, z tyłu zmarszczona, a do dolnego jej brzegu przszyta 24 centymetrów długa spódniczka; marynarski kołnierzyk z przodu sięgający aż do dołu sukienki, osztyt jest kremową koroneczką; naszyta z taśmy wełnianej dopełniają przybrania sukienki podług ryciny.

Sukienka dla panienek od 8 do 10 lat.

Rycina Nr 25.

Sukienka zrobiona z krepki wełnianej, naszyta 1 i pół centimetra szeroką aksamitką i paskiem, zakończonym z tyłu kokardą z szerszej aksamitnej wstążki; do stanika przszyta ułożona w kontrafałdy spódniczka. Bluzka kraje się w połączeniu z szalowym upięciem, do prawego przodu przszywa się na moc, do lewego przypina zapomocą haftek, a 12 centymetrów poniżej wcięcia figury marszczy się; końce szala utalowane i przykryte kokardą z tegoż co suknia materiału.



Nr 23. Sukienka dla dziewczynki od 4 do 6 lat.

Nr 24. Sukienka dla dziewczynki od 5 do 7 lat.

Przepisy gospodarskie.

Pomidory faszerowane.

Wybrać sześć dojrzałych dobrze pomidorów średniej wielkości, wrzucić w gotującą się wodę na jedną minutę i wyjąć z niej; zrobić ze strony ogonka na trzy centimetra szeroki otwór, wybrać ostrożnie rączką łyżeczki od herbaty, wszystkie pestki, lekko posolić i popieprzyć, ułożyć na półmisku z angielskiej blachy, używanym do sufletów, na który wlać dwie łyżki stołowe oliwy. Zrobić farsz z pieczarek, biorąc dziesięć pieczarek oczyszczonych tylko z ziemi i dobrze wymytych usiekanych na masę — włożyć w rondelk ćwierć funta masła i łyżkę mąki wymieszać dwie minuty na ogniu, rozebrać kwaterką bulionu i wygotować prawie do połowy, ciągle mieszając drewnianą łyżką. Pieczarki usiekane mocno w czystej ścierece wycisnąć z wody, włożyć w rondel, dodać łyżeczkę pełną siekanej zielonej pietruszki, trzy małe szarlotki posiekać najdrobniej, dwie szczypty soli, jedną szczyptę pieprzu — dusić to z dziesięć minut pod przykryciem na mocnym ogniu. Gdy taki farsz gotów, napełnić nim pomidory powyżej brzegu, na grubość noża, posypać je tartą bułką przesianą — używając jednej łyżki bułki na to posypanie i wstawić w gorący piec na dziesięć minut na wyższą blachę tak, żeby ogień ogarniał i ze spodu i z wierzchu.

Śliwki węgierki suszone.

Do suszenia śliwek trzeba używać najdojrzałsze, popękane ze słodyczy, tymczasem u nas zwykle sypią w piec najgorsze wybiorki — nie mogą więc być dobre. Śliwki więc dojrzałe, pokurczone, powiedle na powietrzu, sypać na lasy z gałęzi robione, lub na blachy na słomę i stawiać w zupełnie wolny piec, tym sposobem sok w nich zostanie, nie wyjdzie i nie wysmarzy się. Po dwukrotnem przesuszeniu w wolnym piecu, wsta-

wić je w dobrze gorący, po chlebie — pilnując, aby się nie spaliły.

Prunelki, czyli obierane śliwki, robią się także tylko z węgierki, które po oparzeniu wrzącą wodą, wysuszyć, jak wyżej w lekkim piecu, a dopiero po wysuszeniu wyjmować pestki i przyciskać, układając w pudełka drewniane, przekładając gdzieś listkami bobkowymi. Muszą być bardzo szczelnie pakowane, wtedy nigdy nie pleśnieją.

L. C.



Nr 26. Sukienka dla panienek od 8 do 10 lat.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa z czarnych jagód z grzankami.
2. Szyńka solona pieczona w cieście.
3. Pulardy młode — kompot z moreli.
4. Krem malinowy na słodkiej śmietance.

U W A G A.

Do dzisiejszego numeru dołącza się ta blica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w tym i w przyszłym numerze Bluszczy podać się mające.